

Stefania Krukowska

Tak upływał dzień za dniem...

jest takie miejsce na ziemi
dokąd uciekam gdy mi źle
w gąszczu drzew
wspomnień i ciszy
zostawiam cząstkę siebie

każdy ptak śpiewa tylko dla mnie
każda kropla deszczu plaśa
słońce
na nitkach babiego lata
gra
najpiękniejsze melodie świata

jest takie miejsce na ziemi
moja wioska rodzinna...

("moje miejsce", Regina Smoter Grzeszkiewicz)

Wstęp

Tak upływał dzień za dniem... to ciąg dalszych wspaniałych relacji z Komodzianki spisanych przez Stefanię Krukowską. Część pierwszą tego gawędziarskiego cyklu stanowi niewielka z uwagi na zasób treści publikacja *Krokiem przez stulecie. Opowieści mojej babci* (Szczecbrzeszyn 2011), zawierająca wspomnienia babci Stefanii Krukowskiej – Agnieszki z *Krukowskich Kosikowej*, która jako zaledwie 18 letnia dziewczyna zamieszkała w Komodziance wychodząc za mąż za Tomasza Kosika...

Autorka poniższych relacji urodziła się w 1939 roku w Komodziance, gdzie mieszkała do roku 1961, a więc całe swoje dziecięco – młodzieńcze życie. Jako bystra obserwatorka tego co wokół, na dodatek obserwatorka obdarzona talentem literackim potrafiła utrwalić dla potomnych (za co należą jej się najwyższe słowa uznania) obraz biłgorajskiej wsi przełomu lat czterdziestych - pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Na kartach jej opowieści pojawia się cała galeria mieszkańców Komodzianki, Stefania Krukowska z wielką umiejętnością, odrobiną humoru opisuje ich sposób bycia, codzienne zajęcia, zwyczaje, z szacunkiem i miłością pisze o swojej rodzinie, sąsiadach, koleżankach i kolegach; uczestniczymy wraz z nią w dziecięcych zabawach, troskach... Przepięknie ukazany jest komodzianki krajobraz, zabudowania, wzgórze i drzewa i słynne komodzianki studnie. Czytając przenosimy się w tamten miniony świat, wędrujemy z autorką opowieści poprzez dni, pory roku, uczestniczymy w ważnych uroczystościach religijnych (Boże Narodzenie, Zielone Świąta, Boże Ciało), przeżywamy wraz z mieszkańcami wsi doniosłość tych świąt, wędrujemy przez pamięć, która pielęgnowana potrafi odtworzyć pełną uroku, swoistego wdzięku przeszłość. Autorka wspomnień wspaniale opisuje budzącą się z wiosną do życia przyrodę, pierwszą wiosenną ulewę, kwiaty, zapach których przebija się przez kartki opowieści trafiając do naszych zmysłów. Oczywiście wyobraźni widzimy zatopiony w strugach deszczu komodzianki krajobraz, od którego nie możemy oderwać wzroku, bowiem jest tak realny, tak prawdziwy, że aż trudno w to uwierzyć. Mówić krótko *Tak upływał dzień za dniem...* to wspaniała podróż w czasie, przestrzeni, podróż którą każdy z nas powinien odbyć w swoim życiu.

Cennym uzupełnieniem tych, jakże bogatych w treść wspomnień są dziś już unikalne fotografie mieszkańców Komodzianki, pieczołowicie zachowane przez Stefanię Krukowską, a także zamieszczone w aneksie: słownik gwary komodzianki oraz wykaz postaci występujących w tekście.

Regina Smoter Grzeszkiewicz

autorka wspomnień o sobie....

Urodziłam się 18 sierpnia 1939 roku w Komodziance, pow. Biłgoraj w rodzinie średniorolnego chłopca. Dzieciństwo moje przypadło na trudny okres okupacji hitlerowskiej. Koszmary z dzieciństwa prześladują mnie do dziś. Łapanka chłopów, wywóz do obozów, ucieczka w nocy do lasów, głód i chłód, rozdzielanie mnie z dziećmi żydowskimi, moimi małymi przyjaciółmi i ich wywóz do Frampola,¹ a tam masowa egzekucja. Wszystko odbywało się na moich oczach, oczach przerażonego dziecka.

Ojciec z przynależnością do Batalionów Chłopskich noce i dni spędzał poza domem, niepewność i strach, że może nie wrócić odbijały się echem w moim umyśle. Grasowanie różnego rodzaju band, tłuczenie po nocach do okien, w dzień mielenie ziarna w dole kartoflanym za pomocą żaren i sprawnych rąk mojej babki, matki, by następnego dnia ugotować kluski, które niesamowicie gniotły w język i podniebienie bo były z ziaren jęczmienia. Pszenice zabrali Niemcy, krowę trzeba było odstawić na kontyngent aż na Biały słup w Zwierzyńcu, bo taki był rozkaz ówczesnych władz okupacyjnych. W tej atmosferze wzrastałam przerażona i bojąca się wszystkiego. Dzień wyzwolenia, wielka nadzieja a wraz z nią trudne warunki ekonomiczne. Nie było grosza na gaz, bo tak nazywano naftę, nie było na mydło, na najdrobniejsze rzeczy osobiste, brak środków czystości wiadomo jakie niósł skutki, świerzbi i insekty to nieodłączna para mojego wczesnego dzieciństwa.

Był rok 1947. Początek roku szkolnego, pierwszy raz idę do szkoły. Pierwsze dni w remizie strażackiej, z węzełkiem gruszek na podwieczorek zasiadam dumna w ławkach pierwszej klasy. Prawie wszystkie dzieci nie mają zeszytów. Nauczyciel rozdaje książki, zeszyty, ale nie dla mnie, to dla dzieci biednych, ja jestem bogaczką, bo nie mam rodzeństwa, wszystkie dochody są moje, a że jestem boso, w sukience z lnianego płótna, uszytej na wyrost, by starczyło na lat kilka [to nieistotne]. I właśnie bogaczka rozsiadła się na ławce z nieheblowanych desek i macha bosymi nożętami, a w oczach pełno łez, znów to upokorzenie, znów ta dziecinna skarga, cichy żal do całego świata.

I tak raz lepiej, raz gorzej w pomieszczeniach chłopskich chałup skończyłam 6 klas szkoły powszechnej. W Komodziance. I z taką wiedzą wkroczyłam w dorosły wiek. Ciężka praca na roli i niedostatek który mi towarzyszył zawsze był nieodłączną parą mojego życia. W roku 1961 wyszłam za mąż za Stanisława Krukowskiego w Zaburzu, tu ukończyłam 7 klasę na kursach wieczorowych i dwuletnią Szkołę przysposobienia Rolniczego w Janowicach k/Zamościa. Mam jednego syna. I tak powoli dobiega końca mój życiorys...

¹ Zagłada Żydów z Frampola i okolic miała miejsce w listopadzie 1942 roku, zginęło wówczas ok. 1000 osób

Jesień, jesień...

Dnie były coraz krótsze. Pierwsze mrozy ścisnęły ziemię, ale pracy było co niemiara. Rzepa była nie sprzątnięta, bo to jeszcze dorastała jako poplon we Inisku, Ojciec woził gnój na ogrody, matka wyrzucała z obory i stajni, Siwka i kasztanka utrudzone jesienną pracą ledwie powłóczyły nogami, ale ciągnęły w poprzek góry wóz załadowany gnojem, przy wozie trzymając się kłonicy szedł ojciec.

Był to chłop urodziwy z siwą czupryną na obrzeżach głowy. Odziany w mundur (kupiony gdzieś na jarmarku), spodnie takiego samego koloru, w serdaku przepasanym pasem i czapce kaszkiecie. Wiele to razy musiał przejść tą samą trasą, bo na wóz nie nabrał wiele gnoju, bo to i wóz był niewielki i gnojownice wyszczerbione przez czas i teren był górzysty. Obejście nasze było na samym dole, ale zaraz za budynkami był sad pod górę, dalej pole ale wciąż w górę i w górę. Słońce zachodziło za choiny na Stoczku, wszędzie się kładły długie cienie.

Marynka pała krowy na życie, a chłopaki Władkowe Oleś i Genek też wypędzili bydło, kłócąc się między sobą, który ma być pastuchem. Chyba się zbliżał wieczór bo Magda z Wawrzkiem pędzili krowę do domu od Marczaków aż na sam koniec wsi do Książka. Magda gięła się pod ciężarem zajdów niosąc dla krowy obmarzłe liście rzepy i resztki wyki. Wawrzek stapał miarowo ciągnąc na powrozie czerwoną krowę. Wracali i inni ze schedy Marczakowej do swoich domów. Mały Kazio Marczak ze swą żoną niósł też na plecach wiązkę chrustu. Za nimi szedł Szymek z motyką w reku, pewnie naprawiał miedze lub kopał ugór, za nim podążała Szymkowa ze swoją czeredą. Była tam Sabina, Tadek, Tereska, Marysia i jeszcze najmłodsze dziecko na rekach u mamy. Mieszkali nad wodą, Wielką Sadzawką zwaną, a że to było wiele dzieci, Szymek chory na jakąś śpiączkę, to biedę klepali, dzieci były głodne i chłodne. Zaturkotał wóz. To jedzie Józef Łukaszów, ma tu pole, bo żonę ma z Kosików i ma za nią jej siostra spory kawał pola. Tuż za nim pędzi dwie duże czerwone krowy Kaśka Józłowa i w podskokach biegnie za nią kilkuletnia dziewczynka Leonka, nieślubne dziecko Kaśki. Cała ta procesja przemierzała trasą koło nas dwa razy dziennie – rano i wieczorem.

Z kominów sączyły się dymy, ci którzy zostali w domu krzątali się koło wieczerzy. W obejściach czynił się wielki ruch, zaganiano konie do stajni, zapędzano zmarznięte krowy do obory, kobiety spieszyły się z dojeniem bo noc kładła się na dobre w obejściach, w sadach, tylko na zachodzie była jeszcze jasna luna po zachodzącym słońcu, to jeszcze rzucało światło na wierzchołki drzew w sadzie. Mróz czynił się coraz mocniejszy, ziemia dudniła pod stopami. W chałupie na środku tliła się lampa naftowa, przy piecu pod kuchnią ogień buzował galancie, to dawało dodatkowe światło i ciepło dla ogrzania całej chałupy. Babka kładła patyki do pieca, a na kominie bulgotały kartofle dla nas na wieczerzę i w innych baniakach dla świń na jutrzejszą karmę.

Po obrządkach na podwórku wszyscy zebrali się w domu by się ogrzać i spożyć ciepłą strawę. Kartofle ciotka stłukła krążkiem w tym baniaku co się gotowały, skąpo polane tłuszczem i do tego kwaśne mleko. Babka wystawiła stołek, który służył do posiłku, wystawiła strawę i zaczęło się chrobotanie, skrzypienie łyżkami w poobijanym baniaku, zagłębienie do wnętrza, że może skwarek się zawieruszył. Przybrali kwaśnego mleka do popijania. I tak pięćosobowa rodzina kończyła dzień. Krótki i szary bo to był koniec października. Bo jutro nowa praca, nowe obowiązki i Ciotka Marynka musi iść na oporządzenie na smentarz, bo zbliżają się święta, Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny.

Z samego rana Ciotka narwała w kosz karoliny (śnieguliczki), białych jagódek, które po pierwszych mrozach dostały żółtych plam, trochę utłuczonego węgla, parę garści soli, a w reszt ozdób zaopatrzy się tuż przed smentarzem. Jest tam resztką żywopłotu przy łące dworskiej – jest to liguster z czarnymi jagodami. Bo żywopłot jest niestrzyżony odkąd PGR objął rządy, stał zdziczały, wyrośnięty z owocami w postaci czarnych jagód, dalej też cały rząd drzew kasztanowca i jego owoce też służyły za dekorację na groby.

Wyruszyliśmy rano z koszykiem, motyką i zapaską na wynoszenie śmieci. Zaraz do nas dołączyła Jaśkowa Marczaczką, ale już na Ćwierciach od strony Gór szły Mikszyna, Gienia Baranowa i Kaśka Magdzina i z każdej dróżki w Teodorówce wysuwały się postaci i całymi gromadami szli w stronę smentarza. Na smentarzu istny tłok. Nikt w ciągu roku nie sprzątał, jedynie ci najbliżsi z Radzięcina, którzy mieli groby tuż przy ścieżce, wiosną sadzili bratki na grobach, ale to znikoma ilość, reszta to zielsko, ogromne zielska przymiotna, pokrzywy, ostu. Któż tam resztę wyliczy dzikich chwastów znanych i nieznanymi, owiniętych ramionami dzikich jeżyn.

Do porządku mieliśmy jeden grób Dziadka Tomasza Kosika z umieszczoną tabliczką *Zmarł 17. XII – 1948 roku. Pokój Jego duszy*. Ja nosiłam na kupkę śmieci i tak do południa uporał się z robotą. A teraz dekoracja. Na pulchnej ziemi Ciotka zaznaczyła dość szeroki krzyż, wysypała tłuczony węgiel, boki obsypała solą, z kasztanów ułożyła różaniec, karolina ozdobiła boki mogiły, a czarna jagódka ligusteru między karoliną. Ukończywszy swoje dzieło westchnęła głęboko, była w ty i radość z efektów swojej pracy, a może żal za ojca. We dwie zaczęłyśmy głośno odmawiać Ojczy Nasz, Zdrowaś Maria i Wieczny Odpoczynek. W domu istny rwetes. Kapusta z pola zniesiona do chałupy zajęła całą izbę że trudno dojść do łóżek. A że były pilniejsze roboty to tak odleżała kilka dni.

Na Stoczku w lesie leżała ściółka (igliwie) w kupkach, trzeba jak najszybciej zabrać bo może zgnić. Ludzie na gwałt gacą chałupy, obory, różne przybudówki, w niektórych siedzą kury, gęsi lub jakiś wieprzak. Przy ścianach domów stoją kołki, leżą deski i wszystko co potrzeba do gacenia. Najlepszy materiał to

szczecina (igliwie) z lasu, ma tego starczyć do samych okien, wyżej może być ściółka z liści a pod sam szczyt słoma, ale czy wszyscy mieli słomę? Zwozili całą jesień ściółkę ze swoich lasów. Kłótnie i swary towarzyszyły tej pracy, bo to jeden przegrabił drugiemu działkę. Cała wieś wyjeżdżała do lasu na całe dni, wracali pod wieczór z wozami pełnymi liści lub szczeciny z gałęziami na opał, mocno utrudzeni. Ale jutro znów pełni werwy, wypoczęci jechali drogą w Stoczek. Jedni do Jonaka do Małego Lasu to w Lipińskiego Doły, to za Borucha a nawet w Lasy Biłgorajskie i tak dzień w dzień w pogodne dni aż przyszła plucha i błocisko zrobiło się niesamowite. Ale i wtedy była robota. Baby siedziały w stodole, opierając o łono szczotki do czesania lnu, głaskały lewą ręką garść włókna, prawą zaś ciągnęły po szczotce od dołu do góry. Zdarte pakuły układały w kądziele. Wyczesany len skręcony w lalki i wiązany po 60 sztuk czekał na sprzedaż. Chłopy zaś przerabiali jabłka po komorach, co niektórzy kręcił sznurki na powrozy, a Futyma Jasiek miał pełne ręce roboty bo to on miał sprzęt do kręcenia powrozów.

Na świecie było szaro i smutno, deszcz siąpił całymi dniami. Na polu nie zostało nic, gdzieniegdzie tylko resztki rzepy: to trzeba było przed św. Marcinem uprzątnąć " *bo na św. Marcina nic w polu nima*". Drogi opustoszały. Czasem tylko w górę, w stronę Teodorówki jakiś chłopina wiezie kobietę schludnie ubraną, gładką zaczesaną, uwitą w czystą chustkę, nowy żupan i zapaskę białą jak śnieg, to Kołodziejka, znana w okolicy babka akuszerka. Nikt nie potrafił tak odjąć porodu i dojrzeć w czasie połogu. Setki dzieci odebrała i wszystkie były całe i zdrowe i ich matki też. Więc nie było dnia aby gdzieś nie jechała lub szła. Narodu było dużo i narodzin bardzo wiele.

Zmierzch zapadał wcześniej. Dawano krowom, koniom, karmiono świnię, bo ciemnica w obejściach była niesamowita. Ktoś spóźniony biegł z latarką by dokończyć obrządku. A gdy zamknął za sobą wierzeje świat stawał się głuchy, ciemny nieprzenikniony. Czasem zdarzało się, że ktoś człapał po błocie buciskami, to najczęściej Wichcine chłopcy szli do Michałowych, bo to u Michała Wojciowy było pięciu chłopców, skorzy do żartów i swawoli. Człapał też Wojtek Marczak z zięciem Błachem. Jeden skręcał do Kosików Władków na grę w domino, drugi szedł w wieś, bo to był sołtysiem i miał różne załatwienia. Co chałupa w małych oknach sączyło się blade światło, to baby przędy kądziele by do Gód uprząć porcje i po Nowym Roku zanieść do tkacza.

Stach Marczak całymi dniami stał przy warsztacie stolarskim, bo to i ramy okienne trzeba było zrobić i łózko nowożeńcom zmontować, to pręślice naprawić i często trumnę zrobić, bo ludzie często na przedgodziu umierali. Życie toczyło się ustalonym trybem, każdy walczył o byt jak tylko umiał. Czy to Jasiek, czy Józef, czy Wojtek, czy Stach Marczaki, Czy Kosiki jeden i drugi, czy Władek Kotow, czy Bronka, Pisiewiczze, Matuszki, Felki, Kołodziejce i. t. d. Każdy na równo klepał biedę i nikt się z niej nie wychylił.

W dzień targowy

Na każdy poniedziałek szli i jechali ludzie na jarmark do Frampola. Od samego rana słychać było stukot botów po zamrożonej drodze. Stach Książek z końca z koszykiem pod pachą i kiloma garściami lnu szedł by zrobić niezbędne zakupy. Szedł Franek z końca w kobiałce niósł jajka i masło na sprzedaż. Szła Nawrocka Marynka z chustką na ramionach i dźwigała ogromne toboły szmat do sprzedania. Bo to była kobieta zaradna. Jeździła do Łodzi i zwoziła różne towary. Co nie wzięły mieszkanki wsi resztę sprzedawała we Frampolu. Szła Skowronka z bańką na gaz (naftę) i też miała coś do sprzedania w koszyczku. A ile było furmanek. Jechał Paweł Madej, wiózł zboże, kartofle, reczkę, bo był to gospodarz bogaty, mądry nad wszystkich, sam umiał wszystko zrobić i majsterkę i kowalstwo i w polu było zrobione jak u dziedzica, bo i budynki miał w podkowę postawione i nakryte blachą. Jechał jak drudzy na jarmark z płodami rolnymi, a obok niego siedziała krępa dziewczyna piękna jak dojrzała róża. Obiekt westchnień każdego chłopaka we wsi. Każdego nęciła i uroda i bogactwo.

Jechał Chorzępa pięknym bułanym koniem z białą grzywą i białym ogonem, takiego konia to nie miał nikt, chyba tylko rycerz co jechał na szklaną górę. Na tylnym siedzeniu siedziała jego żona otulona grubą chustką, że tylko czubek głowy było jej widać. Furman był mocno otyły, że sam ledwo się mieścił na siedzeniu. Też wieźli coś na sprzedaż.

Jechała Józkowa Spólniczka, sama powoziła koźmi, bo to wcześniej owdowiała pomimo że dwóch chłopców z nią jechało ale byli to mali brzdące. Ale na furmance stało dwa koźce jeden z prosiętami, drugi z gęśmi. Jechał Franio Waclawów z Polką. Jechał Sosnowy Jędrzej i jego brat Kazio i wiele, wiele innych. Całe kolumny, wóz za wozem. Jedni byli hen na Stoczku, a drudzy koło Wielkiej Sadzawki. A tu jeszcze dołączały wozy i z Kontka i z tego końca, na Ćwierci dojeżdżały wozy z Gór i Małych Gór. Gdzież ten Frampol pomieścił tyle narodu, tyle furmanek.

Jarmark był ogromny prawie przedświąteczny. U każdego na furmance coś do sprzedania, bo to i zakupy przed Świątami i wydatek na kołodników i ksiądz po kołodzie i wiele innych wydatków. Kobiety kupowały bibułę marszczoną i gładką na robienie kwiatów, biała na firanki do obrazów i wszystko, co potrzebne do robienia pajaków.

Z jarmarku wracali już o zmierzchu, bo to i dzień krotki i do Frampol prawie 10 kilometrów, droga wyboista, konie utrudzone jesienną pracą i jedzenia dostawały coraz mniej by starczyło zapasów do wiosny. Jeżeli sprzedaż udała się pomyślnie to wypito dużo gorącego piwa u Krasowej, a to na głodny żołądek dawało znać o sobie. Kiwały się głowy na jedną i drugą stronę, ale konie szły swoim torem bo tę drogę znały

na pamięć.

Codzienne obowiązki

Nazajutrz ogromne chmury przykryły świat i zaczął padać gruby śnieg. Płatki wirowały w powietrzu i bezszelestnie opadały na ziemię. Warstwa puszystego śniegu robiła się coraz grubsza. Gdyby teraz powiał wiatr, zrobiłyby się zamiecie. Więc ludzie nie marnowali czasu przed niewiadomą zimą.

Od Marczaków szli wszyscy po wodę do wsi. Szedł Józef Marczaków, szedł Wojtek, szła Bronka, szedł Józef Wichcin. Szła Ciotka Marynka, a wszyscy w obawie że zasypie drogę. Kolejka przy studni dłużyła się ogromna bo to przyszli i z Kontka. Paulka Gienkowa, Marek, Kaśka Józłowa, Jasek, Władek Kołodziejów, Kołodziejka Marcinowa i wiele, wiele innych.

Studnia była na placu wiejskim koło Sklepnika zbudowana w latach dwudziestych XX wieku z cembrowiny z ogromnym wałem i dwoma ogromnymi wiadrami, wyglądały jak beczki okute mocnym żelaziem uniesione do walu na grubej linie. Jak jedno było na górze, to drugie czerpało wodę i tak na przemian. Ogromne koło z korbą do poruszania tego mechanizmu było nie lada wysiłkiem dla dwóch osób. A to wszystko przykrywał dach słomiany wsparty na czterech słupach.

Ludzi przybywało coraz więcej, bo połowa wsi korzystała z tej studni, zaś druga połowa od Sosnowych Kazia i Andrzeja korzystali ze studni koło Skowrona. A było przy tym i żartów i swawoli i kłótni i obrazy. Ale ludzie chętnie szli po wodę jak na jakąś ucztę, bo to można było się dowiedzieć gdzie się dziecko urodziło, kto ma sądy z kim, kto chory, patrzy na księżą oborę, kto ściął drzewo w nie swoim lesie. A że nikt nie czytał gazet, więc wiadomości były i tak na bieżąco.

Ci, co zostali w domu też nie marnowali czasu. Kobiety rozczyniały, miesiły ciasto. Paliły w chlebowym piecu, bo po wyjęciu chleba z pieca trzeba suszyć siemię konopne na olej i reczkę na kaszę. Że to zbliżał się adwent i pora miesięcznego postu trzeba było się zabezpieczyć w takie produkty jak: kasza reczczana, olej, bo suszu na parkę i poliwkę stały całe wory. Co tam w nich nie było i suszone jagody (czereśnie), jabłka i słodkie i kwaśne i różnego rodzaju gruszki, masztany i węgierki.² bo tego musiało starczyć na adwent i na wielki post.

Andrzejki

Zbliżał się dzień św. Andrzeja. Młodzież szykowała się do zabawy z tej okazji i do wróżb. Młodzież dzieliła się na kilka paczek, bo młodzieży było sporo. W tamtym końcu była Jania Wawrzkowa, Stasia Madejowa,³ Jagusia Frankowa, Jania Skowronowa, Stefcia Kuśmierczykowa, trzy Futymianki i jeszcze Kasia Futymy Jaśka, Stasia Ruskiego, Stefcia Spólnikowa, Stefcia Kryczkowa (Niedzwiecka), Jagusia Wojstuchowa, a wszystkie krase i urodne, białe na gębie jak śnieg, z różowymi licami. Chyba żadna wieś w parafii nie mogła się pochwalić taką urodą dziewczyn jak nasza wieś.

W tamtym końcu byli i chłopaki na schwał, trzech u Wawrzka, Staś Franków, Oleś Skowron, Bronek Jędrunków, Kazio i Stach Kmieciów, Stach Bartoniów, Jaś Futyminy, Władek Futymów, dwa Czajkowe (Ruski). A wszyscy wyrosli zgrabni, co to do tańca i różańca, a żarty ich się trzymały, a swawole, że hej!. Jak tak z każdego domu wyszli do kościoła a dołączyli do nich w środku wsi i z tego końca to była cała procesja.

Było w tym końcu młodzieży: Józef Pietryków, trzech Sosnowych, Jasek Wawrzków, Główka Tadek, Weronczyn Maniek, Jagnin Stach i Józef Kocinyj, Bolek Kotów, czterech Michałowych, Bronek Felków, Władek Kołodziejów, dwóch Zajczakowych, Madeja Wojtka, cztery Białego, Jasek Matuszków, Stach i Jasek Kosików, Tadek Popieluch i wielu, wielu innych, któż by ich tam wyliczył. Był jeszcze Edek Błachów i czterech Wichcinych, nie licząc Gór jednych i drugich. A dziewczyn co niemiara. Tak samo urodliwe, ogorzałe, od wiatru, malowane słońcem, wyrosłe i gibkie, a tanecznicze na schwał, nie obcy był im fokstroł, nie obcy był oberek, nie pora było zaczepiać której, bo na każda gadkę miała odpowiedź. Była tam Jania Marczakowa, dwie Kosikówny, Janka, siostra Hanki Kotowej, Sabinka Piesiewiczowa, Jania Michałowa, Reginka Gienkowa, dwie Butkówny Paulka i Honorka, Lodzia Oszustowa, Gienia Markowa, Gienia Ruszczakowa, Stefcia Sosnowego, Jania Śliwińskiego, a jeszcze dziewczyny z Dużych Gór.

Więc nadchodził wieczór Andrzejkowy, młodzież podzielona na grupy schodziła się do pewnych mieszkań dalej do wróżb. Wróżby dotyczyły przeważnie dziewczyn, które gwałtem chciały wychodzić za mąż, robiły kukielki, takie kulki z ciasta surowego, każda po jednej i układały na podłodze, proszono psa, i którą kulkę zjadł, ta dziewczyna w najbliższy zapust wyjdzie za mąż. Ustawiano buty od siennego progu, noszono drwa, liczono kołki w płocie a wszystko kojarzyło się z zamążpójściem.

Najważniejsze w tej całej grze było wylewanie wosku. Gorący wosk wylewano na zimną wodę i z tych kształtów wróżono danej osobie. Odczytanie takiego kształtu było zależne od fantazji odczytującego. Jednej wylał się Jaś z rozwianą czupryna, innej Staś z wąsikiem pod nosem, innej ołtarz kościelny, jeszcze innej kołyska, a żartów, a śmiechu było co niemiara. Daleko w noc, ale cichaczem wysuwali się chłopcy – bo przyszedł czas na bielenie okien tam, gdzie była panna. Ojciec dziewczyny stał na czatach by nie omalowali,

² Odmiany śliwek

³ Podobnie jak w Komodziance w Czarnymstoku nazwisko niezamężnej dziewczyny wymawia się jak mężatki

bo chodziło o mycie małych okienek, gdzie woda wsiąkała w zagatę. Ale to i tak bez skutku. Nie dało się z wieczora to i po północy zrobili swoje. Ile przy tym szybek wyleciało bo z daleka chciał chlusnąć zawartością baniaka, to i z baniakiem wapno wpadło na środek izby.

Świąteczne porządki

Czynił się wielki rwetes po domach, baby przędły kądziele do upadłego, że tylko wrzeczona furgały, nici zwiąły na motki, liczyły pasma, po 60 nitek, 16 pasem to był motek, ale trzeba było choć 15 motków uprząść przed Godami i z pracą trzeba było się spieszyć, bo to i dymkę cebulę trzeba wiązać w worki, zakładać na drabinki i suszyć na piecu, by latem nie wybiła w baki, a było tego co najmniej w trzech workach. Babka tłumaczyła, żeby 26 stycznia nie przegapić, a przewrócić cebulę na drugą stronę, bo właśnie wtedy jest połowa zimy i tak właśnie z pokolenia na pokolenie przekazywano tę wiadomość.

Przedgodzie bywało mroźne i śnieżne. Ale niezależnie od pogody ludziska wynosili z chałup statki, ławy, stołki, łózka na zewnątrz, szorowali gorącą wodą z popiołem że wszystko lśniło czystością. W chałupie wymiatano sadze, zalepiano szpary, dziury glina (przygotowana jeszcze w jesieni) i bielono ściany. Nikt nie patrzył, że będzie wilgoć w kątach. Baby, jedna myła powałę, druga bielila pędzlem zrobionym ze słomy prosa ściany to w jedną, to w drugą stronę, aby nie było dziadów (zacieków). Ściany lśniły wapnem z niebieską farbą, bo o to właśnie chodziło, bo nazajutrz przyjdzie sąsiadka i oceni robotę.

Spieszono się przy tym bardzo bo dzień był krótki, aby wszystko nadawało się do normalnego życia. Wnoszono sprzęty, nową słomę do łóżek, nową płachtę na łóżko, a ziąb w chałupie był niesamowity, bo i sprzęty zimne i ściany mokre i podłoga po umyciu. Palio się w piecu dotąd, aż wilgoć zostawiła małe ślady.

Nazajutrz zmówili się sąsiedzi, Edek Błachów, Bronka Marczakowa, moja matka Kosiczka, Jasiek Kosików i jeszcze inni by razem iść do bicia oleju na Chłopków do Skroka lub na Kolonię Latycką do Oleszka. Wychodzili skoro świt, bo kolejka była niesamowita, usługi trwały całą dobę, zmieniali się tylko domownicy właściciela, bo narodu z każdej wsi było moc. Byli ludzie z każdego domu z Komodzianki, z Chłopkowa, z Zaburza, Podborcza, Dzielec.

Pierwszą czynnością było mielenie nasion, później prażenie na ogromnym piecu, trzeba było ciągle mieszać by ziarna się nie przypaliły. Wysypywano z blach do niecek i ugniatano kule jak ciasto na kluski, następnie wkładano do worków i w specjalnej prasie wyciskano płyn. Kręcili chłopcy z całych sił by dobrze wycisnąć olej a makuch został jak najsuchszy. Każdy miał po kilka litrów ciemnozielonego płynu, pachnącego i smakującego jak najlepszy rarytas. Była to okrasa na cały adwent, a najważniejsza to była omasta na pośnik.

Ojciec szedł na wieś by poszukać nogi świńskiej (ćwiartki), bo po takim poście nikt sobie nie wyobrażał świąt bez mięsa. Oglądali świnię, macali po grzbiecie czy towar odpowiedni. Chodziło o dużą ilość słoniny, chudych sztuk nie chciano wcale. Lepszy gospodarze co świnię karmili mąką nie mieli kłopotu ze zbiciem, bo już od kopania kartofli przyjmowali zamówienia. Wszyscy by chcieli zamówić u Białego, u Józwa Łukaszowego, u Jaśka Kosinyj, czy też u jego brata Władka. Gdzieniedzie świnię były tak opasłe, że trudno było wypędzić na podwórko by ją zabić. Biedniejsi brali połowę ćwiartki (nogi) lub jeszcze mniej, zależało na ile było ich stać.

Artystyczna robota

Baby odkładały na dzień kądziele i brały się do roboty wszelkiego rodzaju ozdób, jak papierowe kwiaty, papierowe firanki do obrazów, do roboty pajaków, ale na pajaka nie każdy mógł sobie pozwolić. Chałupy były niskie i tak rosły chłop dostawał czapkę do pułapu, a jeszcze gdzieś nigdzie by belk przez środek powały, co izbę czyniło bardzo niską. Ale były też domy nowe ponad dwa metry wysokie izby, a wtedy pod powałą były kolorowe cuderka, a ileż to było pracy. Nacięcie prostej słomy w 4 centymetrowej długości ździobeł, z prostej bibuły też tej długości robione harmonijki i to wszystko nadziewane na długi mocny sznurek długości od środka powały do okien i w drugą stronę tak samo. Nie jeden dzień trzeba było poświęcić na tak precyzyjną robotę, ale efekt był niesamowity.

Robienie kwiatów bibułkowych wymagało też nie lata zręczności. Ale spod rąk każdej kobiety wychodziły jakby żywcem wzięte z ogrodu róże, maki, georginie, chabry i kaczeńce i piwonie i bzy i wiele, wiele innych. Gdy patrzyło się na nie to trzeba było dotknąć by się upewnić, że to z bibuły a nie żywe. Jeden gatunek kwiatów układano jak bukiet w różgi, do tego liście odpowiednio do odmiany na dole kokarda w podobnym kolorze i piękna gałązka kwiatów była gotowa, a tych gałązek trzeba było kilkanaście. Zależało od długości ściany i od ilości obrazów świętych. Było tam koniecznie *Serce Jezusa i Serce Maryi, Matka Boska Ostrobramska, Św. Agata z solą, św. Agnieszka na stosie, Dzieci nad przepaścią ze Stróżem Aniołem* i wiele innych. Bo czym dom był zamożniejszy tym tym więcej obrazów. Więc w każdej luce między obrazami była runka kwiatów, a na ramkach obrazów firaneczki z białej bibułki. W którym domu były większe okna to przy każdym była firaneczka z bibułki. Na bocznych ścianach, gdzie zawsze wisiał portret ślubny gospodarza domu wsadzono gałązki świerku lub jedliny, a gdzie nie gdzie za belk u powały. A ten wystrój dawał niesamowity urok, że trudno było oczy nacieszyć.

O chudobę zadbać trzeba

Jedni stroili chałupy inni przygotowywali obrządek dla chudoby aby tego starczyło na cale Święta, by do roboty brać się aż po trzech Królach. Ojciec zrzucił słomę owsianą i koniczynę, bo miał zamiar uruchomić kierat. Zaprzęgał tedy Ojciec sówkę do długiego dyszla kieratowego, Ciotce Marynce dawał lejce i tak chodziły kilka godzin w kółko i Ciotka i chabeta mocno utrudzone. Ojciec układał słomę do skrzynki, mocno popychał, a dwa rzezaki cięły i cięły słomę na sieczkę. A było tego co niemiarą, dla koni osobno, dla krów osobno.

Miedzami w górę co raz to można było zobaczyć postać dźwigającą toból na plecach, to spóźnieni jeszcze szli obrabiać reczkę na krupy do Słoty. Był to Niedźwiedzki, ale że cała wieś to Czajka i Niedźwiedzki więc dla odróżnienia mieli jakieś przezwisko. Słota pracował dniami i nocami by sprostać zamówieniom jakie wpływały przed Świętami. Obrabiano i krupy i jagły, które były najbardziej potrzebne na pośnik.

Święta tuż, tuż...

Całymi przedpołudniami wracali ludzie z rorat. Którzy chcieli być u spowiedzi szli zaraz po północy, a i tak kolejki przed konfesjonalem tworzyły się ogromne. Parafia była duża 13 wiosek, a ksiądz jeden – Grzebalski się nazywał. Siedział sobie w konfesjonale pod chórem. Przekładał głowę to na lewo, to na prawo, pobieżnie zadał pokutę, zrobił znak krzyża świętego, puknął w konfesjonał i pochylił ciało na drugą stronę. A przed konfesjonalem z obydwu stron trzeszczały kości, łamały się żebra, wynikała kłótnia o kolejkę i tak było przez cały adwent. Ludziska wracali z rorat koło południa, ale inni domownicy krzątali się w domach, w obejściach by przygotować wszystko do Świąt.

Zwykle w ostatnim tygodniu przed Świętami organista pukał do drzwi każdego domu by dostarczyć opłatek, obarczony w dwa duże kosze. Jeden z opłatkami, drugi na datki. Najczęściej były to: garść lnu i jajko lub dwa. Ale jeszcze wraz z organista jeździła furmanka gdzie znosiło się zboże. Były tam wory wypełnione wszelakim rodzajem zbóż, bo każdy wynosił garniec zboża. Wśród przygotowań do Świąt było jeszcze i noszenie wody ze studni. Kto co miał beczki, kadzie, wiadra, stare naczynia nie dziurawe napełniał wodą by w Święta nie stać w kolejce przy studni.

Ostatnie dni przed Wiliją (Wigilią) była wielka krzątania w chałupach, w obejściu. Dzieciarnia upychała sieczkę w worki, by gotową sypać tylko w żłoby, siekano ostatnie głąbki kapuściane i mieszano z sieczką. Starsi rąbali drzewo na opał, dzieciarnia nosiła do sieni drwa by starczyło do Nowego Roku. Baby miesiły chleb w dzieży, młodsze rozczyły w nieckach na bułkę zwaną pieróg jaglany i pieróg reczczany, a co młodsze gosposie to umiały już piec ciastka amoniaczki. W tej wielkiej krzątaniu przepychali jedni drugich, kłócili się między sobą. Baby pędziły chłopów i dzieciarnię z domów by nie otwierać drzwi w czasie rośnięcia ciasta. Broń Boże gdy wkładało się ciasto do pieca, bo miało zaraz opaść i zostać zakalec.

Wigilia

Nadszedł dzień wigilii. Jeszcze o zaraniu rvetes się czynił we wsi ogromny. Począwszy od przygotowań do pośniku, Babka robiła łupcie i jaglane i reczczane. Ciotka gotowała buraki czerwone na piwo i zastawiała na kuchni te rzeczy, które potrzebne były do wieczerzy. Że to był dzień ścisłego postu, nikt cały dzień nic nie jadł, najwyżej kilka łyków wody można było spożyć. Wszystkie łakome rzeczy chowane były przed dziećmi, aby bron Boże dziecko coś nie skosztowało. Śledzie moczyły się w wodzie, kapusta pyrkotała w garnku, grochu duży garnek już gotowy, jeszcze usmażyć racuchy i wszystko przygotowane. Gotowa też i słoma i siano i snopek żyta na króla. Wszystko czeka w stodole.

Ojciec z rana zaprosił już gości na kolację. Przyjdzie Ciotka Nastka ze swym mężem Stachem Kołodziejczykiem z córka Lodzią i Maniusią. Przyjdzie Ciotka Kaśka z Bronkiem i Natalką i Mańkiem. Z chwilą zapadnięcia zmroku Ojciec szedł po słomę i jeden z domowników po siano i snopki. Słomy było dużo ledwo można udźwignąć. Po wejściu do chałupy Ojciec śpiewał:

*dzieciatko się narodziło
i wszystek świat uweseliło
Weselmy się i radujmy
na to Boże Narodzenie*

i tak trzy razy w koło. A potem roztrząsanie słomy po podłodze, położenie siana na stole i przykrycie białym obrusem. Obrus był używany dwa razy do roku. Na przykrycie siana w wigilię i gdy ksiądz chodził po kolędzie. Snopek też znalazł odpowiednie miejsce w kącie. Stołek na środku chałupy już był suto zastawiony do kolacji.

Pierw podano kapustę z grochem, sam groch, kasze reczczaną sypką, a wszystko to suto okraszone olejem konopnym. Na koniec podano śledzie, racuchy i ciągle popijano poliwką z suszu. Pojedzeni do

nieprzytomności biesiadnicy kładli się na słomę by dać odpocząć żołądkowi. Na leżąco snuły się opowieści o strachach, o duchach. To szły wspomnienia z dzieciństwa, z młodości o tych, którzy odeszli, aż zagrzmiała kolędy: *Bóg się rodzi, moc truchleje, Wśród nocnej ciszy, Przybieżeli do Betlejem...*, i wiele innych. Bo to i zbliżała się godzina dziesiąta (22.00) i czas wybierać się na pasterkę do Radzięcina 6 czy 7 kilometrów, to w godzinę tej drogi nie przebędzie. Ojciec stawał na czatach, bo chłopcy wyciągali słomę z zagaty na palenie ognisk na trasie drogi do kościoła. Ale i tak nie dało się upilnować. Paliło się za Marczakiem, w Niżu, na Cwierciach od strony Gór Dużych też było widać kilka ognisk. Widać było lunę od Średniówki, od Kolonii Smorynia, za Teodorówką raz po raz wybijały się snopy ognia, a iskry wirowały w powietrzu i zwinnie opadały na śnieg. Ze wszystkich drózek, opłotków, z wąwozu za Teodorówką przybywało ludzi, tworzył się tłum, a już z Pańskiej Drogi, gdzie szli ludzie z Jędrzejówki, Średniówki, Albinowa, Majdanu tworzyły się wielkie tłumy, a jeszcze wygonem koło rzeki i dróżką koło młyna wałyły całe czerechy z Zakościela, Woli, Starej Wsi, a na prawo dworką wzdłuż rzeki szli z Abramowa, z Dworu, ze starego Radzięcina, z Wólki Abramowskiej, z Hoszni.

Most przy młynie zapełniali ludzie otuleni w szuby, czapy, chustki, podkute buty. Gwar się czynił niesamowity. Ciasno było aż po młynarzowy dom stojący po prawej stronie drogi. Był to obszerny drewniany dom, znać, że dzielony na dwie połowy, z dużymi oknami, kryty gontem, dalej kamienny, schludny domek Małgoški. Nikt nawet nie wiedział jej nazwiska. Małgoška była od zawsze. Na lewej stronie dom parafialny, kościelny Świś tu mieszkał z żoną. Była też i izba z której korzystali parafianie – gdy po pogrzebie częstowali wszystkich chlebem. I dalej na samym wzgórkę gdzie ścieżka stroma prowadziła do furtki kościelnej stał nowy dom organistów.

Ścieżką w pasterkę ludzie się nie mieścili, szli dalej do głównej bramy, która prowadziła wprost dróżki na cmentarz. Na przykościelnym placu roito się od narodu, bo kościół był po brzegi zapełniony. Ludzie klękali do pacierza wprost na śniegu, bo nie sposób było wejść do kościoła. Z bocznej nawy dała się słyszeć sygnaturka. Ksiądz wyszedł ze mszą, przeszedł furtką balustradki i postąpił kilka schodów w stronę wielkiego ołtarza. Ale z chóru z całą siłą uderzyły organy i organista basowym głosem zaśpiewał *Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...* naród powstał, zakolysała się fala i naród gruchnął pieśnią *Wstańcie pasterze Bóg wam się rodzi...* A potem w czasie odprawiania mszy, a że to było w języku łacińskim i nikt tego nie rozumiał, śpiewom nie było końca: *Przybieżeli do Betlejem pasterze, W żłobie leży, Bóg się rodzi...*, i wiele, wiele innych kolęd śpiewanych co rocznie od wieków, a wszyscy znali na pamięć.

Kolędnicy, tańce i zabawa

Daleko po północy kończyła się msza z kazaniem i już nad ranem ludzie wracali do domów. Wielce utrudzeni walili się na słomę i spali do południa w Boże Narodzenie. Dopiero wieczorem odwiedzali się, stawali w opłotkach by poradzić między sobą, przygotować się na jutrzejszy dzień, bo to trzeba iść do kościoła owies świącić i już z rana spodziewać się pierwszych kolędniczków. Jeszcze szaro za oknami już w drzwiach stała chłopaczyna suto sypie owies śpiewając:

*Święty Szczepan po kolędzie gdy chodził
wnet się jemu i Jan Święty narodził*

porywał dany mu grosik i pędził co tchu do następnej chałupy, bo pod progiem inni czekali. W ten też dzień zaczęli chodzić kolędnicy, jedni z kozą inni z koniem, to Herody, to pastuszki, to męska młodzież, to znów orkiestra z Jędrzejówki. Ojciec sprzedał 2 metry pszenicy to ledwo wystarczyło, bo to i w Sylwestra zaczynały dziewczyny. Nie każdy mógł sobie pozwolić przyjąć wszystkich, bo prawie wszędzie zaglądała bieda. I tak było lepiej. Ojciec opowiadał jak było w latach tamtego wieku. Chodzili we trzech po kolędzie, Ojciec, Władek Kotów i Jędrzej Łukaszów, to przy podziale wystarczyło na kupno kajeta, obsadki i atramentu i by to uczcić kupili torebkę sody i butelkę octu by się raczyć wodą sodową.

Po skończonych kolędach młodzież robiła zakończenie. U kogoś w domu szykowano przyjęcie. Dziewczyny znosiły to jakąś bułkę, to ciastka amoniaczki, to surową słoninę, chłopcy wódkę i takie było przyjęcie. Później tany. Przygrywał Stach Marków (Futyma), Władzio Ruskiego (Czajka), czasem Wypych z Podborcza lub Józef Pyjdzionczyn (Niedzwiedzki z Kolonii Teodorówka). Ach, cóż to był za ubaw! Garnitur tańców składał się z: walca, polki, fokstrota, i koniecznie oberka. Wszyscy umieli tańczyć. Dziewczyny jak malowane, chlupcy jak ułani, wszyscy zgrabni, hoży do żartów i swawoli, a wszyscy dufni w sobie, chojracy wielcy, czuli się jakby byli co najmniej Napoleonem. Gdyby któraś z dziewczyn, broń Boże coś powiedziała na którego, to zaraz z marszem została wyprowadzona z zabawy. Więc wszystkie potulne jak baranki, zachowywały się jak mużulmanki; którą poproszono do tańca nie odmówiła, choć partner nie był po jej myśli.

I tak upływał dzień po dniu. Minął Nowy Rok, Trzech Króli, Gromniczna. Zapusty się wydłużały. Było kilka zapowiedzi przedmałżeńskich, ale wesele było niewiele bo to i zima i pomieszczenia małe dla gości. Było wesele Stefci Kuśmierczykowej z Paolkiem Książkowym. Ziąb był niesamowity. Grała orkiestra z Jędrzejówki, ale co to było za granie jak trąby pozamarzały. Było wesele Jani Skowronowej z jakimś panem aż spod Hrubieszowa. Były zapowiedzi Bronka Jędruckowego, ale do ślubu nie doszło. Ludzie pracowali przy wywózce śniegu z podwórek, bo nie można było przejść nie mówiąc o wyjechaniu. Ale i w takie

zawiejne dni ludzie się rodzili, umierali, życie toczyło się normalnym torem.

Wielki Post

Nadszedł Wielki Post. Babka wyparzyła łyżki, garnki, miski, by nie było pozostałości po tłuszczu. Obowiązywał ścisły post, wstrzemięźliwość od pokarmów tłustych, mlecznych. Gdy była jakaś matka karmiąca dziecko, to trzeba było mieć dyspensę od księdza proboszcza by można było jeść potrawy mleczne. Ale czasami jakaś kochająca babcia dla swojego wnuka w tajemnicy przed całym światem uprzyła w garnuszku mleka. To było ścisłe tajne i na spowiedzi trzeba się było przyznać. Ludziska jedli kapustę, kartofle, poliwkę z suszu, słoduchę,⁴ groch okraszony olejem, a w piątki to tylko kartofle z popielnika popijane poliwką. I tak było przez 40 dni. Jedynie w odpust na św. Kazimierza 4 marca i na św. Józefa 19 marca można było popuścić - jedzono choć postno, ale do syta.

Wielki Post zaczynał się Stacyjami w każdym domu począwszy od Wojtka Marczaka - u Stacha Marczaka, u dwóch Kosików, Władka Kota, Pisiewiczów – Matuszkowych i tak po kolei aż do Madeja w końcu. Stacje odprawiano w piątki, w sobotę do Matki Bożej zaś w środę Gorzkie Żale. Schodziła się cała wieś, naród nie mieścił się w izbie, stali w sieni i na dworze odprawiała Wichta Marczakowa i Tekla Kołodziejka, a że były to kobiety bardzo pobożne i tercyjarki⁵ to nikt nie mógł lepiej tego prowadzić. One obsługiwały wszystkie uroczystości religijne. Tak więc te postne obrzędy wyglądały jak koncerty. Wszyscy śpiewali przeważnie młodzież, Edek Blachów, Jasiek Matuszków, Bolek Kotów, Stach Felków, Władek Kołodziejów i wielu, wielu innych.

A i dziewczęta przychodziły hojnie. Wystrojone, bo to i spotkanie z chłopakami i niejedna teściowa zerkała łaskawym okiem która tu wybrać, choć wszystkie były urodziwe i hoże wyjść za mąż.. Były to i Jania Marczkowa, dwie Kosikówny Władzia i jej siostra Stefcia, była Sabinka Pisiewiczówna, Paulka, Kasia, Honorka Oleszkówny (Budkowe), Lodzia Oszustowa, Regina Gienkowa, Jania Michałowa i wszystko z tamtego końca. Chłopcy mieli w czym wybierać i po skończonych modłach każdy chwycił swoją wybrankę i odprowadzał do domu. Gdy po zakończeniu zabrzmiała pieśń:

*Dobranoc kwiecie różany,
dobranoc Jezu kochany dobranoc...*

każdy chwycił swojego opiekuna i włókł się do domu między opłotkami, że tylko błoto mlaskało wśród ciemnicy i ciszy wieczoru. Kołatały się w głowie śpiewane pieśni *Ludu mój ludu, Ogrodzie Oliwny, w Krzyżu cierpienie, Krzyżu Święty* i wiele innych pieśni wielkopostnych, żalonych, że serce pękało na myśl o ukrzyżowanym Chrystusie. Za chwilę gasły ostatnie blade światełka w oknach. Wieś pogrążała się w martwej ciszy, tylko drzewa w Choinkach i w Bagnym Dole na Stoczku szumiały szepcząc jakąś tajemnicę.

A jutro podnosił się dzień wiosenny chłodny i dżdżysty a wraz z nim ludziska rwali się do roboty bo wiosna i święta tuż, tuż...Już bracki kościelny (radny) Sobstyl Paweł szedł od domu do domu i przyjmował zapłatę na cały rok na gromnice, światło ze świec, by w każdą uroczystość kościelną rozdawać przed procesją wszystkim wpłacającym. Jechała też fura ze zbożem dla organisty, bo ten był zajęty pisaniem numerków do spowiedzi. Szedł też kościelny Świś za datkami na święta (jajka, mąka, krupy). Zbliżał się Wielki Tydzień. Słyszał było kwiki zabijanych świń, bielenie izb, wystrój wewnątrz mieszkań. Rano lecieć do spowiedzi, bo koniecznie przynajmniej raz w roku przed Wielką Nocą. Ci, co nie byli przez cały rok w kościele dbali o to by się wyspowiadać, tłok przed organistą po numerki (płatne) i tak samo przed konfesjonalem, ale ksiądz Grzebalski dawał sobie radę i ci oczyszczeni z grzechu wracali szczęśliwi do domów by kłać swoją babkę, poszturchiwać dzieci i narzekać na sąsiadów. 25 marzec Zwiastowanie Najświętszej Maryi Panny wypadło w Wielkim Tygodniu, więc odłożono na przewodnią Sobotę.

Wiosna

Gdy już stopniał śnieg pod wszystkimi miedzami, gdy mulaste wody przestały płynąć zaczynało się przedwiośnie. Już to i święta niedaleko i różne przygotowania wiosenne, w ludzi wstępował nowy duch. Wyczerpani postem, wyczerpani niedostatkiem ale słońce wiosenne ożywiło ich.

Nasze okno od wschodu wychodziło na Kocinej Górę, za Górą było widać czubki drzew z Gorajeckich Dołów. Wismukle jodły górowały nad resztą drzew, u nas się mówiło "Wawrzkowe Jodły". Gdy dni stawały się dłuższe słońce wschodziło między tymi jodłami, jaka była radość. Słońce weszło za trzecią jodłą, znak że wiosna tuż, tuż. Na słomianych dachach zaczął topnieć śnieg, gdy południowe słońce go przygrzało płynęły strugi wody, która tam na dole zamarzała i tworzyły się długie aż do samej ziemi sople, wyglądało to

⁴ Przygotowywano ją w następujący sposób: mąkę żytnią razową, gryczaną i pszenną sypano do garnka w odpowiednich ilościach (garściach) zalewano zimną wodą i dokładnie mieszano. Gdy wszystkie składniki połączyły się w jednolitą masę zalewano je dobrze ciepłą gotowaną wodą i jeszcze raz dokładnie mieszano. Następnie zostawiano na cały dzień, wieczorem znowu dokładnie mieszano i gotowano.

⁵ Osoby świeckie skupione w tzw. III Zakonie św. Franciszka

jak najpiękniejsze żyrandole w kościele. Był to niepowtarzalny urok. Nadeszła odwilż. Marcowe słońce przygrzewało mocno, z południowych stoków zaczęły schodzić w dół strugi wody z topniejącego śniegu. Z Todorowskich⁶ Dołów zaczęła się sączyć strużka wody, a czym dalej w wieś przybierała na rozmiarach, a już na Komendowym wodospadzie woda huczała jak na turbinie młyńskiej. Nadchodziła noc strumienie wody zamarały tworząc szkielek na powierzchni. Ludzie rankiem załatwiali wszystkie osobiste sprawy, spieszyli do sklepu, który był w Madejowym domu, a sklepowym był Stach Komenda, a później przeniesiono do Niedzwiedzkiego zwanego "Sklepnikiem" (bo on też był subiektem przez długie długie lata).

W wiosce utworzono Kurs dla Analfabetów, nauczanie prowadził Kazimierz Oszust. Kurs był obowiązkowy dla tych którzy nie umieli się podpisać a stawiali tylko krzyżyki. Kursy trwały przez całą zimę i odbywały się w szkole u Andrzeja Sosnowego.

Zaczynały się prace wiosenne. Ludzie odwalali doły z kartoflami. Znosili ściółkę z kopców. Po przymrozku chodzili znosić gałęzie jodłowe na kapuśniska. Jedni z Mazurówek inni z Rekasówki to ze stoczku to z Bagnego Dołu, bo każdy siał większe ilości rozsady kapuścianej by wystarczyło na obsadzenie nie małych zagonów.

Przed każdym obejściem od strony południowej był spory kawał ogrodzonej grządki która służyła tylko na rozsadnik. Były też na wygonach zbiorowe grzędy, gdzie pewna ilość gospodarstw miała z roku na rok swoje poletka tylko na rozsadę kapusty. Gdy zginął śnieg i ziemia trochę obeschła kopano ziemię, siano rozsadę przygotowaną w zeszłym roku. Przykrywano gałęzmi świerkowymi i czekali aż rozsada wzejdzie.

Na wygonie za Sobstylami było kilkanaście poletek wszystkich użytkowników z tamtego końca, a byli to dwaj Sobstyle, Czajka – Ruski, Bartoń, dwaj Kołodziej, Kołodziejczyk, Chorzępa, dwóch Kuśmierczyków, Jędrunko, Kmiecie i Lelijki, z Pagórka Stach, Nawrocki i Skowrony.

Święta Wielkanocne

Ostatnie zagaty znikają spod ścian. Zamiatano obejścia. Kto nie miał podłogi równał glinę, wtykano świerkowe gałązki za obrazy święte. W ciepłych miejscach wychylały pączki żółte narcyze. Znoszono suche gałęzie z lasu by opału starczyło na święta. Chłopi zaczynali wywozić gnój. Baby szykowały jadło na święcone i na całe święta. Co bogatsze nadziewały kielbasy. Drobnopokrojone mięso z solą, pieprzem i czosnkiem nadziewano w kieszki przez specjalną foremkę zwana kołodziejką, a potem na kije i w ostatnią fajerkę na kuchni, podczas gotowania strawy wędziła się kielbasa.

Nadszedł Wielki Czwartek, Piątek - ścisły post, woda i chleb. Ludzie i tak wychudzeni omdlewali z głodu, ale co silniejsi szli do kościoła. Na te dni wieś się wyludniała, zostawali tylko starzy i dzieci. Wracali z kościoła daleko po zmierzchu, a w sobotę o godz. 6 rano było święcenie wody. Wtedy dzieciarnia z butelkami, z banaszkami biegła po święconą wodę, bo jeszcze trzeba było iść do remizy święcić pokarmy. Przyczyniały baby od samego rana jadło do święcenia, a trzeba było w kobiałce bo w koszyku się nie mieściło. Cóż tam były za różności: kawał chleba, osetka masła, cały róg sera, kawały gotowanego mięsa, kilka kartofli gotowanych, kopa jaj, kielbas na samym wierzchołku (bo to świadczyło o zamożności gospodarzy), szklanka soli, i duży chrzan, a było jeszcze i siemię i daleko na spodzie ukryte warzywa i wszystko, by się rozdziło tej wiosny. Dźwigać to musiał dorosły człowiek i to z wielkim trudem, dzieci miały osobne koszyczki i też w nich pełno.

Księdza przywożono furmanką z Kolonii Todorowskiej (Teodorowskiej), a już czekała fura ze Średniówki. Klękano w dwóch rzędach, odkrywano ścierki by w całej okazałości pokarmy (przybrane barwinkiem) by mogły być polane wodą święconą, na zakończenie była modlitwa, później ksiądz pogadywał z gospodarzem, a dzieciarnia pchała się na umór by pocałować księdza w rękę.

Wszyscy rozpierzchni się do domów. Święconkę wyniesiono od razu do komory, co miało chronić od inwazji myszy. Wszyscy chwytały za robotę bo to dwa dni do świąt i trzeba wszystko przygotować, wstać skoro świt, bo o 6.00 rano początek rezurekcji.

Już od trzeciej po północy dały się słyszeć tupoty ludzkich nóg, człapali ludzie starsi, biegały dzieci, jechali wierzchem na koniach, kto miał jaką chabetę chwycił ją za grzywę i pędził w stronę Radzięcina. By wejść do kościoła ludzie przychodzili bardzo wcześnie, chłopcy wyciągali z ławek chorągwie, ustawiali się szeregiem, a było tego około dwadzieścia, bo niekóra wieś miała po dwie w zależności od ilości dziewcząt, bo chętnych było bardzo dużo, nawet z tego powodu wynikały swary i kłótnie, bo każda mama chciała by jej córka prezentowała się jak najokazalej przy noszeniu pasa.

Braccy przegięci w pół z ogromną ilością świec trzymany w płóciennych fartuchach przeciskali się przez tłum by rozprowadzić światło wśród tych, którzy przedtem wpłacili, a było tego narodu co niemiara, bo świeca w ręku za procesją oznaczała zamożność gospodyni. Już wyniesiono statuę Chrystusa Zmartwychwstałego. W pełnym szyku ustawiły się chorągwie. Za nimi orkiestra na przedzie z niezastąpionymi braćmi Bartoniami, Kość, Korgul, Oleszek, Badach, Nawrocki, Wójcik i wiele, wiele innych chłopaków na schwał. Za nimi baldachim noszony przez straż, ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem też prowadzony przez strażaków i reszta strażaków obok za nimi, lud wierny, rozmodlony, wielce przeżyty z

⁶ W Komodziance zamiast Teodorówka, mówi się Todorówka, jest to sąsiednia wieś

racji doniosłej chwili.

Wybiła godzina szósta. Z chóru rozległa się pieśń *Wesoły nam dziś dzień nastał...* uderzyła melodią orkiestra, że ściany kościoła zadrżały, i wszystek naród wylał się tłumnie na cmentarz kościelny i tam powoli krok za krokiem obchodził trzy razy kościół śpiewając pieśni wielkanocne, a orkiestra grała do wtóru. Słońce już wzeszło, lekki wiaterek muskał światło świec, a było tego setki.

W tym czasie kościelny z pomocnikami uprzętałi grób Pana Jezusa, zdjęli fioletowe zasłony z obrazów i krzyży i znów zrobiło się barwnie, wesoło wśród kwiatów, które przygotował Broniek Paszków, stały dekorator kościoła. Wszystko było godne tak uroczystego Święta Zmartwychwstania Pańskiego.

Zaraz po komunii chłopcy wyruszyli w drogę by być pierwszym we wsi, a to miało obfitować w szczęściu, w urodzajach. Najpierwszy dopadł do wsi Wojtek Marczak za nim jego zięć Błach i wnuk Edek. Ale i tak oni nie mieli szans, bo ci co byli na koniach dojeżdżali pierwsi, na czele z Bolkiem Kotowym, Stachem Felkowym – Władkiem Kołodziejem, Józvem Białego Józvem Kocynym i wiele, wiele innych.

Za dobrą godzinę szedł naród pieszy. Nawet mało pogadywali ze sobą, bo każdy śpieszył na świąteczne śniadanie. Kto został w domu szykował jadło by po 7 tygodniach postu można było sobie pozwolić popuścić pasa. Były to same rarytasy. Kobiałka ze święconem wystawiona na stół (na którym się jadło strawę), stół służył na miejsce dla pasyjki, i statuy Matki Bożej i różne papiery urzędowe. Duży kawał chrzanu maczano w soli i to był pierwszy kęs święconki. Dzielono jajko na cztery części i dzielono się nim, zagryzano kawałeczkiem sera z kęsem chleba. Reszta przysmaków znajdowała się w barszczu świątecznym. Czego tam nie było: jajka, ser, mięso, chrzan i wszystkiego po okruszku, co znajdowało się w kobiałce, w misce trudno było łyżką przegarnąć, ale gdy zasiadła pięcioosobowa osobowa rodzina to słychać było tylko chrobot, mlaskanie, szybko opróżniano miskę, bo czekała nowa potrawa – to ksyna na mleku, czyli łokszyna, makaron swojej roboty gotowany na mleku. Nasyчени po uszy już myśleli gdzie pójść na Meus.⁷

Nikt nie kładł się spać, bo to miało wróżyć zarastanie chwastami jak zbóż, tak i grzęd. Było jeszcze z godzinę do południa a już miedzami w górę szły pary małżeńskie z drobną dźwigną, bo starsi woleli przekomarzać się w opłotkach. Szedł Władek Kotów z żoną Hanką, za nimi laźł gruby Jasienio, który gwizdał na ptaki i uroczystość chwili wcale go nie interesowała. Drugą miedzą szedł Kosik z żoną Agatką a za nimi spychały się z miedzy najmłodsze dzieci Leonka i Maniek. Szła moja matka z ciotką Marynką bo ojciec bronił się od takich wypadów. Szła Bronka spod figury, szły całe rodziny Matuszkowych. Szedł sam Michał Wojciowy, Felek, Pisiewicz, Stachy Marczakowe i kto miał zdrowe nogi szedł w stronę swojego pola, przysiadali na miedzy pogadywali o różnych sprawach. A gdy słońce chowało się za Mały Las – za Stoczek, za Doły Todorowskie, za Rowy już prawie szybkim krokiem wracali na wieczorny obrządek. Bo jutro istny raj, "śmigus dyngus". A w lany poniedziałek wielki ruch, mniejsi z butelkami, więksi z wiadrami, a niektórzy chwytały dziewczyny do sadzawek i polewali wiadrzem. Piski, krzyki, śmiechy słychać było przez cały dzień, a i przez cały tydzień lała się woda, śmiechu było co niemiara. Kończył się świąteczny tydzień, wysychało błoto przy studni z polewania śmigusowego.

Przewodnia Niedziela, zabawa gdzieś w chałupie, chłopcy sprowadzali dziewczyny, a te odwzajemniały się piskami. Wiele było roboty przed Przewodnią Niedzielą. Która nie umiała sama pisać nosiła jajka do starszych kobiet, które się tym zajmowały. Najpiękniej pisała Kołodziejka (akuszerka). Pisała stara Matuszkowa, pisały też inne. Ale co to były za cudenka. Jedne były w drapaki, w ciapki, w zajęcze uszy, tych wzorów było setki, a każdy piękny, przepisywany różnymi kolorami. Z łusek cebuli były czerwone kolory, fiolet z farbki granatowej, zielony z młodych listków żyta, a wszystko mieniło się żółtym kolorem wosku. Na jednym był kogucik, na drugim bazie, na trzecim kwiatki jabłoni i wiele innych, a jedna piękniejsza od drugiej. Chłopak, który dostał od dziewczyny większą ilość pisanek, bywało, że i pół kopy, to w rewanzu jak był odpust na Antoniego w Radeczniczy u kramarzy kupił żelazny grzebyczek lub jakąś broszkę.

Wiosna

Dni stawały się coraz dłuższe, a wraz z tym przybywało roboty. Na gwałt ludzie przygotowywali się do sadzenia kartofli, do sadzenia grzęd, do siania lnu i konopi. Na Świętego Marka była odpowiednia pora do siania lnu (25 kwiecień). Moja babka gotowała kilka jajek, wkładała do siemienia. Gdy ojciec nabierał ziarno do płachty znajdował w nim niespodziankę w postaci jaj. Co to miało oznaczać – nie wiem.

Ludziska grodzili płoty, ten płot co był postawiony w dzień św. Marka w nocy był rozwalony, tak było od zawsze, co miało oznaczać nikt nie wie do dziś, ważne, że zrobiło się komuś na złość.

Po wiosennych roztopach drogi i pobocza były porwane. Więc co tchu trzeba było ładować. Sołtys Sobstyl szedł od chałupy do chałupy oznajmiać że jutro we wsi szarwark. Wyznaczał kto z furmanką, kto z łopata, a kto inny do wożenia końmi.

Wszyscy wystąpili jak jeden mąż. Od Józwa Marczakowego aż po Stacha Książka nie było domu, żeby ktoś nie wyszedł, a przeważnie młodzież, bo to była okazja do spotkań, śmiechów, swawoli. Ile było przy tym radości, gdy ktoś dostał grudą ziemi od niewiadomego. Jedni wozili kamień, inni gałęzie drzew, inni kopali rowy, inni równali ziemię i już blisko wieczora droga przez wieś była jak trasa komunikacyjna.

⁷ Nawiązanie do wydarzenia z Nowego Testamentu, gdy Jezus po zmartwychwstaniu spotkał się ze swoimi uczniami w drodze do Emaus

W kuźni u kowala (Czajka Jan) biły młoty bo pracy było wiele. Chłopi klepali lemieszce do pługów, naprawiali bronki, potrzebne były gwoździe do bron i wiele innych rzeczy uszkodzonych od robotnego sezonu. Kowal wraz z czeladnikami dwoił się i troił by sprostać wymaganiom, a czasem baba zajrzała, bo jej się bańka na mleko zepsuła, lub garnek się przedziurawił, on zaradził wszystkiemu. Był to wielki oszczerca, każdemu tak dopiekił aż mu w piętę poszło, ale robotę zrobił dobrze i zapłaty wziął niewiele.

Wiosna była już na dobre. Ludzie ruszyli do zarobków. Tracze do rznięcia drzewa. Szedł Wojtek Marczak i jego zięć Błach, szedł Jasiek Kosików, Józef Białego, szedł Stach Felków i Władek Kołodziejów. Szli też cieśle do stawiania chałup. Mój swak Kołodziejczyk ze swoją ekipą: Błachem z Gór, Stachem Książkiem, Antkiem Książkiem i wielu innych. Szedł Lutek Matuszków ze swoim zespołem. Wieś żyła pełną parą. Choć jeszcze na opacz pod miedzami leżał brudny śnieg, dzieciśka zdejmowały obucie i dalej bawić się wieczorami w zakutego. A było nas co niemiara. Był Stach Marczaków, były Błachowe Edek, Władka i Tadek, byłam ja – była Leonka i Moncik i Gienek i Oleś, była Bronczyna Stefka i jej brat Jasiunio, był Stach Pisiewiczów, był Józef i Paulin Michałów, dołączały do nas i Stefcia Kociny i Leonka Sklepnikowa. Nawet dzieci z Kątka dołączyły do nas, Maniusia Białego, Romek i Edek Jędrzejowe i Staś Budków, Jasiunio. Takie to zgraje tłukły w deski u Bronki spod figury – bo tam nikt tym zabawom nie zaprzeczał. Bawiono się do woli.

Wiosna szła do wioski wielkimi krokami, po drzewach nabrzmiwały pąki, sochory stały w całej krasie bordowo – żółtych baranków, w lesie kwitły zawilce, miodunka, przylaszczki, zajęcza kapusta. Gdy mama była w tym czasie w Gorajcu przynosiła mi z łąk kaczeńce, później niezapominajki. Układałam piękne bukiety. Kwiaty te z łąk i te z lasu tworzyły piękną kompozycję. Było co postawić w domu na stole przy statule Matki Bożej i przed figurą koło Bronki, bo to zbliżał się maj i pora majówek pod wszystkimi krzyżami.

Starsze dziewczyny Stefcia Kosikówna, Janka z Czarnegostoku co mieszkała u siostry Hanki Kotowej, Jania Marczakowa, Sabinka Piesiewiczowa i te młodsze zwawo uwijały się przy porządkach koło figury. A figura była ze 4 metry wysoka, drewniana z metalowym wizerunkiem Pana Jezusa. Ogródenie było ze sztachet, czyli płot pamiętał dawne czasy bo niektóre były mocno spróchniałe aż cały płot ledwo się trzymał, tyle, że w każdym rogu rosły dość grube drzewa kasztany, o tej porze roku zieleniły się nikle listki i widać było grube pąki kwiatowe. Za płotkiem rósł barwinek, a jego niebieskie kwiatki już przekwitały.

Rano 1 maja furmankami (w ramach szarwarku) wożono dzieci do Frampola na uroczystość akademii pierwszomajowej, ale wieczorem kto jeszcze był na drodze spieszył pod figurę na śpiewanie majówek. Wichta Marczakowa i i Tekla Kołodziejka odprowadzały całe nabożeństwo. Zaczynało się litanią do Matki Bożej, całą śpiewając, a później pieśni: *Po górach dolinach, Serdeczna Matko, Chwalcie łąki umajone, Idźmy, tulmy się jak dziatki, Zawitaj Królowo Różańca Świętego*. Ale gdy zaczęły śpiewać *Dobranoc wonna Lelijo*, a potem *Wszystkie nasze dzienne sprawy*, wiadomo że to już koniec nabożeństwa. Wszyscy utrudzeni bo nie było gdzie usiąść rozpierzchli się szybko w stronę swoich domów. Biegł Wojtek Marczak i Józef i Kasia Marczakowe i Wichta ze swoimi chłopakami i Babka Jachymka, "Ciut, Ciut" zwana i Jagna Mączyna, i moja babka i ciotka Kaśka i Marynka i od Kosikowych młodzież i my dzieciarnia. Cóż to była za radość przepychanki i swawole, w drugą stronę szli Ludki i Jaśki i same Matuszki i Felkowe i Sklepniki i Kołodzieje Marciny i inni z Kątka i taki był pierwszy tydzień maja.

Nadszedł 8 maj, pierwsze wypędzenie krów na pastwisko. Każda krowa otrzymała wieniec z młodych gałązek brzozy wrzucony nad rogi. Krowy były wychudzone niedostatkiem zimowym, ten wieniec miał dać obfitość mleka i ochronę od złych czarów. Kartofle były posadzone, niektórzy spóźnialscy wieźli w Stoczek fury załadowane w pełne wory krajanych kartofli. Waclawów Franek poganiał szkapiny bo wóz był pełny worów, a jeszcze na nim siedziały dwie jego siostry, Polka i Jantka. Nie spieszo im było z robotą, bo jak mawiali, kartofel był już dojrzały, to trzeba mu 100 dni, a tu do kopania było o wiele więcej. Ciągnął jeszcze gnój, Sosnowy Jędrzej i jego brat Kazio. Wiózł jeszcze Jędrunko i Oleś Chorzępów i wszyscy ci, co mieli pole na Stoczku, Nowinie, za Boruchem w Pniakach, na Chłodnickiej, na Małym Lesie. Prawie cała wieś miała tam pola. Ziemie w tych miejscach były urodzajne, tak, że nigdzie nie było ugorów. Każdy kawałek ziemi był zagospodarowany.

Zakwitały sady. Tego cudu nie da się opisać, białe trześnie, a było ich mnóstwo przy każdym domu. Zaraz po nich różowe jabłunki. W ogródkach przydomowych kwitły serca, a z tulipanów zwisały ciężkie paki, zazieleniły się lelije, zaczęły kwitnąć besy, a było ich wiele, przy każdym domu rósł duży krzak, jak też nad każdą sadzawką kalina też cała w kwieciu o tej porze. W niektórych miejscach rosła smorodynia (czeremcha) i bez czarna. Pod płotami rozwijały swe ogromne liście cale w faldach kręcimaciek, ziolo na schorzenie żołądka u krów. Za Marczakami i w Nizie kwitły głogi szypułkowe, ćmielina, tarnina już przekwitała (zawsze były przymrozki na czas kwitnienia). Najcudowniejszy miesiąc w roku mijał szybko. Ludziska tego nie zauważali zajęci różnymi robotami w polu. Kobiety jedne u drugich sadziły kapustę na odrodek, bo to nie małe zagony trzeba było mieć by tego warzywa starczyło na całą zimę. Wynoszono płótna na trawę dla bielienia, ale co wieczór dzieciśka miały robotę, trzeba było składać w harmonijkę i znosić do sieni by nikt nie ukradł, tę czynność powtarzało się przez dwa miesiące aż płótno było dobrze wybielone, wyprane i złożone w kawałki by jesienią szyc z niego bieliznę jak osobistą tak i pościelową.

Tytonia w inspektach podnosiły szkła prosząc się o sadzenie, ale że w tym okresie były wielkie susze więc wszyscy czekali na deszcz. Szły gorące modlitwy o zmianę pogody, a gdy był poświęc pól większa ilość ludzi wybrała się na tę uroczystość ze wszystkich 13 wiosek parafii. Ludziska zbierali się w kościele.

Uroczystość zaczynała się Mszą Świętą. Po niej wszyscy uczestnicy i z nimi ksiądz zaczynali od figury w Radzięcinie od strony Frampola. Tam z trzema chorągiewkami zanosili pierwsze modlitwy o dobry urodzaj zbóż, o właściwą pogodę, o zdrowie dla pracującego ludu.

Procesja ruszyła drogą za cmentarzem aż hen na koniec Radzięcina przez Abramow. Tam przy kopcu granicznym od strony Goraja znów się zatrzymano na modlitwę i poświęć pól parafialnych. Ksiądz usiadł na furmankę, reszta ludu z pieśnią *Kiedy ranne wstają zorze Tobie ziemia, Tobie morze...wlokła się aż do Albinowa – Hoszni, Średniowki, Jedrzejówki Majdanu i w stronę Teodorówki*. Ludzi ubywało, ci co szli przez swoją wieś zostawali u siebie, reszta srodze umęczona ledwo powłóczyła nogami, ale przy każdej figurze nim dojechał ksiądz mieli chwilę odpoczynku, bo to i księdza zapraszali na odpoczynek racząc go arbatą albo kawą abisyńską. Od Teodorówki szła już tylko garstka narodu, bo ci z Komodzianki, z Kolonii Smoryń i Kolonii Teodorowskiej, przez Duże Góry, zatrzymali się przy kopcu i figurze w Jeziorach, potem przy figurze Nawrockiego i Górami koło Futymy do kopca granicznego z polami gorajeckimi, na polu u Madeja Pawła. Madejka wyniosła na kopiec pasyjkę, obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i w garnuszku bukiet kwiatów. Wieś wygarnęła na spotkanie procesji i księdza. Po modlitwie ksiądz powiedział kilka słów do narodu, wsiadł na furę i odjechał na obiad, a było już dobrze po południu.

Obiad szykowała Jantka Białego, bo to i gospodyni przednia była we wsi i umiała księdza przyjąć i izbę mieli dużą i naczynia godne do przyjęcia księdza, a stary Biały był mądry i umiał porozmawiać z księdzem. Reszta narodu porozkładała się pod jabłonkami dla odpoczynku. Chorągwie złożyli na furze tylko z jedną ruszyli Walkową Drogą w stronę Smorynia. Szło dosłownie kilka osób i resztami sił śpiewali *Po górach dolinach...* naród rozchodził się po domach, przegryźli co nieco, najczęściej kwaśne mleko z razowym chlebem, spieszyli do swoich zajęć. Tak upływały dni po dniu.

Zielone Święta, Zielone.

Już zaczynało się plewienie w ogrodach, zdiabywanie wcześniej posadzonego tytoniu, a tu Zielone Święta tuż, tuż, wiele przygotowań na te dwa dni świąt. Baby zżynały pszenice, bo ta już dość wyrosła w szczypiura. Z płachtą uwiązana przez plecy, wprawnymi rękoma żęli sierpem pszeniczne pióra wkładając za plecy garść zieleniny aż była cała płachta. To było pożywienie dla bydła, rznęli to na sieczkę ze słomą i była karma na całe święta. Inni co nie mieli co zżynać szmyrgali liście w lesie. Były to liście bukowe lub grabowe. Ile to chrabąszczy powędrowało wraz z liśćmi do płachty a później do sieczki. A że był to okres przednówku, wielkich przygotowań kuchennych nie było. Niektórzy bogatsi upiekli piróg jaglany i chleb. Dziewczyny zamiotły podwórka, ścieżki, chłopci znosili brzoźki ustawiali po cztery przed wejściem, w strzechę ciskali gałęzie leszczynowe. Mama szła do Gorajca by przynieść lepiechu. Wuj Józef już jej wcześniej przygotował całą wiązkę, jeszcze zadzieliła Hankę Kotową, bo ona była z Czarnegostoku, a że tam był dostęp do bagien to też było tradycją rozścielać w świąteczny dzień lepiech (tatarak) na podłodze. Dwa dni upłynęły w sielskiej atmosferze.

Deszcz, wiosenny deszcz...

Zaraz po Świętach zanosilo się na burzę, a ze to bywały dwumiesięczne susze. Ludzie obawiali się najgorszego, bo od Gorajeckich Dołów wyszła chmura czarna jak noc. Zygzakami ognia błyskawice rozciągały się po całym niebie. Dał się słyszeć daleki grzmot. A potem pioruny uderzały jeden za drugim, biły gdzieś za górami, w lasach, co wyższe drzewa zwały się na ziemię. Zaczął padać rześisty deszcz, a potem straszna ulewa z gradem. Z góry, z pól płynęła woda coraz bardziej, bardziej aż dolina zarówniała się wartką mulistą wodą. Na wodospadzie u Komendy woda kłębiła się spadając z czterometrowej wysokości, wody z Gór Dużych i wszystkich miejsc, które omijały wodospad schodziły się koło studni u Skowrona i tam korytem waliły aż do Podborcza. Po burzy woda jeszcze się sączyła. Zaświeciło słońce, wszyscy wylegli z chałup. Jedni szukali płócien co nie zdążyli sprzątnąć, inni kwoki z kurczętami, chłopci z podkasanymi portkami ubolewali nad przymulonym żytem, to znów wyłożonym Inem. Ale upłynęło kilka dni i znów życie toczyło się dawnym torem.

Dzień Bożego Ciała

Zbliżał się czas Bożego Ciała. Wszyscy spieszyli z robotą, bo w ten dzień trzeba dłużej być w kościele, a potem oktawa przez tydzień aż do święcenia wianków. Nadszedł czwartek, dzień tak uroczysty, od rana ludzie snuli się ścieżką w stronę Marczaków, Ćwierci Todorowskich aż do kościoła. Furmanki turkotały drogą w Stoczek obładowane narodem, dzieciarnią, wieźli wszystkich chuderlaków by z racji święta nabrały ciała, a jechali wcześniej by zająć lepsze miejsce na postój dla koni, a jeszcze lepiej w cieniu. Już od godziny formowała się procesja. Braccy roznosili świece, chłopcy rozstawiali chorągwie, dziewczyny wnosiły obrazy, tercjarki ustawiały dziewczynki do sypania kwiatów. Orkiestra z braćmi Bartoniami na przedzie była też w pogotowiu. Najprzedniejsi gospodarze trzymali baldachim. Ksiądz wziął monstrancję, dwóch potężnych chłopów chwyciło go pod pachy i pod baldachimem zaśpiewał donośnym głosem *U drzwi twoich stoję Panie....* naród wnet pochwyił – *czekam na twe zmiłowanie* i ze sto metrów długości procesja wylała się ze

cmentarza kościelnego na drogę z góry aż na łąki za młyn.

Przy pierwszym ołtarzu przystrojonym w obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który tonął w kwiatkach piwonii i różnych kwiatków polnych ksiądz odczytał Ewangelię. Naród przykląkł, bił się mocno w piersi, nieśmiało spoglądał na monstrancję, wzdychał i omdlewał i z wiary i z gorąca. Ruszyli do drugiego ołtarza, powoli głowa przy głowie śpiewając z całego serca całą mocą. Zdawało się, że cały świat śpiewa chwałę Bogu. Tak doszli do drugiego ołtarza, który był obok, ceremonia powtórzyła się tak i przed trzecim, zrobionym na ganku młyna, i czwarty ołtarz u młynarza na ścianie domu. Upał był nieznośny, proch pod nogami niesamowicie parzył w nogi. Ceremonia trwała więcej jak godzinę, ale naród z pokorą wysłuchał wszystkich ewangelii i od ołtarza do ołtarza śpiewali nowe pieśni. A gdy naród ustał orkiestra dęta z całej siły, że melodia leciała aż do nieba chwając Boga. Wszystko wróciło do kościoła i msza ciągnęła się długo i uroczyście. Ludzie wracali do domów późnym popołudniem.

Tydzień szybko minął i następny czwartek znów ta sama uroczystość, święcenie wianków. Kobiety dźwigały po kilkanaście wianków w jednej ręce w drugiej zaś pantofle i wszystkie z naszej strony siadały pod kasztanami co tworzyły alejkę przy drodze by odpocząć założyć skarpety lub pończochy na bose nogi i dopiero obuwie. Można tam było wypocząć na trawie, dzieci jadły podwieczorek, najczęściej jajko na twardo i placek z blachów, a że zamuliło w ustach i pić się chciało nikt ze starszych się tym nie przejmował.

Procesja taka sama jak na Boże Ciało tylko że ołtarze wkolo kościoła po czterech rogach parkanu. Jeden koło dzwonnicy, drugi w rogu z lewej strony i dwa od południa w kapliczkach. Wonność od ziół biła w nozdrza bo wianki były z najprzedniejszych ziół, z koniczyny białej i czerwonej, z macierzanki, z rumianku, dzwonników, z płatków kuliponu (piwonii), podbiału, ze sroczki zwanej kwaśnym mlekiem, z liści orzecha włoskiego i wiele, wiele innych, zależało od pomysłu i możliwości gospodyń. Poświęcone wisały gdzieś przy domu w cieniście miejscu by w razie potrzeby użyć do okadzania wymion krowskich lub dla ludzi w różnych schorzeniach. Nazajutrz było święto "Serca Jezusa" i odpust w parafii. Ludziska świętowali cały tydzień a roboty w polu i obejściu piętrzyły się. Zakwitły głogi na miedzach, zaczęły dojrzewać jagody na trzesniach, skończyły się głodowe dni, gdy można było parki ugotować z młodymi kartoflami.

Żniwa

Od strony wsi dały się słyszeć odgłosy klepania kos. Głos leciał z Kątka, głos leciał od Matuszków, Kołodziejów, Kotowych, od stryjowych Kosików, dwa uderzenia od Marczaków. Mój ojciec też klepał. Cała wieś rozbrzmiewała głosem dzwonienia kos, a były to dźwięki najpiękniejszej muzyki. Zaczęto kosić sady, dojrzewały wszelkiego rodzaju zioła i trawy. Żółte dzwonki już dzwoniły suchością, przekwitwały smółka, jaskier, niebieskie dzwonki, cecylka (centuria), krwawnik, żabie mleko, a nad wszystkim górował hanysek, który z pokosów trzeba wybierać bo zakwaszał siano dla bydła. Była tam koniczyna biała i czerwona, rumiany (i kto tam jeszcze wyliczy). Zaraz po sadach koszone koniczynę. Stawiano w kuczki i tak dosychała aż do zabrania. Był czas wielkich upałów. Zakwitły konopie suszki (rodzaj żeński) między główkami (rodzaj męski) na gwałt trzeba było wybierać by nie zaschły razem. Wiązano w snopy, ustawiano w mendle, rozpościerano na wykoszonych sadach lub czekały na ścierniskach.

Zbliżał się czas żniwny. Wśród tych strasznych upałów roiły się pszczoły. Wiele było pracy przy podkurzaniu roi na drzewach, znoszeniu do uli i tak całe popołudnia mieli chłopci robotę. Na lżejszych gruntach wychodzono z sierpem by dorodne żyta użąć na kiczki do łatania dachów i na powrósła do wiązania jęczmieniów, a także do młocki do wiązania okłotów. Jedni dopiero się sposobili do żniw ale Wojtek Marczak już pierwszy wyszedł w pole, przeżegnał się krzyżem świętym i tak się przypiął kosa do roboty, że jego czeladź nie mogła za nim nadążyć. W parę godzin stanęły pierwsze dziesiątki. Równiuśko rzędem z pięknie założonymi czapkami, Wojtek uśmiechał się tylko rad ze swojego czynu.

A jutro dał się słyszeć brzęk klepania kos. Mój ojciec też wykonywał tę czynność waląc młotkiem w kosę położoną na babce (rodzaj żelazniwa, podłoża pod kosę). Po śniadaniu założył osetkę za pas, stary kapelusz na głowę, kosę na ramię i spieszny krok poszedł hen miedzą na sam szczyt Ustonia, gdzie dorodne żyto kładło swe kłosa aż do ziemi, za nim dreptały matka i ciotka. Ojciec zdjął kapelusz przeżegnał się bez ładu, splunął dwa razy w garść, chwycił rączkę kosy i ciał zawzięcie kładąc pokos za pokosem.

Ludzie rozpierzchli się po swoich polach. Wieś opustoszała, tylko dzieciśka i starcy pilnowali chudoby. Wygarnęła Kosikowizna aż miło popatrzeć, dorodne dziewczyny i chłopaki na schwał. Jęli się roboty w milczeniu bez swarów ścięli duży łąn. Wyszedł Władek Kotów z Hanką, Pisiewicz z żoną, Matuszkowe całą zgodną rodziną, Michał Wojciów ze swoimi chłopakami, Stach Felków, Władek Kołodziejów. A w Stoczek ciągnęli żniwiarze furami. Jechali bracia Sosnowi Jędrzej i Kazio, jechał Franio Waclawów z Polką i Jantką, jechał Jędrusko, Chorzępa i wiele, wiele innych że trudno wyliczyć. Człapała z kosa na ramieniu Jagunia Lilijczyna, a za nią dużymi krokami podążała jej siostra Bronka.

I tak dawało się tylko słyszeć: "Boże dopomóż" i odpowiedź: "Daj panie Boże", i tak było że dwa tygodnie zależało od rąk do pracy, bo ledwie skończono żyta już jęczmiona dojrzały, za nimi pszenica i owies, a jeszcze w międzyczasie zrywanie tytoniu, nawlekanie do suszarni. Dzieci pilnowały suszarek, starsi pracowali przy żniwach.

Dziesiątków na polu stało tysiące. Każdy po skończonej robocie liczył ile to kop ukosili dzisiaj i ile mają w ogóle, radość rozpierała gospodarzy gdy miał ponad 20 kop danego gatunku. Jedni dokończyli żniw, a baby

znosiły snopy żyta do stodół, rano przed robotą polową tu i ówdzie dały się słyszeć miarowe uderzenia cepami. Młócił Wojtek Marczak, młócił mój ojciec, Jasiek i Lutek Matuszkowe, ktoś w Kajtku, a i ze wsi dolatywały miarowe uderzenia cepami. Słuchało się tego jak najpiękniejszej muzyki. Ludzie utrudzeni przednówkiem doczekawszy nowego żyta młócili go, kilka snopów, mielili w żarnach i był pierwszy pachnący chleb z tegorocznego ziarna. Lny były ustawione pod ścianą by nie zmokły do czemchania. W stodole stały gotowe sianie, w nich obsadzone czemchy i by prędzej się z tym uporać czemchali ludziska dzień i noc, bo trzeba zrobić miejsce na zwózkę zboża. Gotowe wiązki czemchanego lnu układano w poddachu i te czekały na rozciąganie na żytniskach lub gdzie popadło na ścierniskach.

Przyszwał czas zwózki zboża do stodół. Uprzążnięte bojowiska, zapola, wszelkiego rodzaju górki, strychy by umieścić jak najwięcej suchego zboża. Najczęściej początek sierpnia obfitował w burze, nawalnice, różne anomalie przyrodnicze. Po przejściu gwałtownej burzy dziesiątki snopków leżały pokotem. Ludzie zapominali o przykazaniu "Abyś dzień święty świecił" i gdy przypadło na niedzielę stawiać zboże – ludziska stawiali dziesiątki by zboże obeszło i nazajutrz można zbierać do stodół. Na podwórkach stały gotowe wozy z drabiniastym osprzętem, nawet pawęż leżał na wozie by jutro przypiąć tylko konie i rychło zabierać się do zwózki.

Od samego rana droga w Stoczek turkotały wozy, by tam na wzgórzu rozjeżdżać się w różne strony do swoich pól. Skwar wzmagał się z godziny na godzinę, blask słońca zalewał ścierniska, wszystko żółciło się w złotej poświacie południowej pory. Wszyscy znali rytuał układania snopów na wozie, z przodu 10 z tyłu tyle samo, 4 w środku a potem snop po snopie, i było tego kopę dwadzieścia a może więcej.

I tak cały dzień w te i we wte mijały się wozy naładowane zbożem. Turkot ustawał dopiero gdy czerwona łuna zachodu barwiła świat na różowo. Ruch powoli cichł, słysząc było porykiwanie bydła i nawoływania ludzkie przy wieczornym obrządku. Wieś zasypiała, od pól dolatywał głos przepiórki, w sadach dał się słyszeć cykot konika polnego. Wreszcie wszystko ucichło.

Święta Matki Bożej

Zbliżał się dzień 15 sierpnia, Święto Matki Bożej Zielnej. W nowej parafii w Gorajcu⁸ szykowano się do pierwszego odpustu, a wraz z tą uroczystością w każdej ościennej wiosce szły przygotowania do tak wielkiej uroczystości. Pieczono piróg jaglany z tegorocznej mąki. Babka gotowała grochówkę z młodym kurczakiem, bo być może ktoś z rodziny wstąpi odwiedzić wracając z odpustu.

Dzień szybko minął. Gospodynie miały pełne ręce roboty. W tym czasie był wysyp grzybów, skoro świt ludzie chodzili do lasu. Baby paliły w piecu, suszyły grzyby, suszyły gruszki, jabłka, rozciągano lny, wrywano mak, wrywano konopie, kończono robotę przy tytoniach. Zaczynano młócić zboże, bo to niebawem 8 września Matki Bożej Siewnej, pora do siania żyta. W tym ogromie prac, ludzie się żenili, wychodzili za mąż, rodziły się dzieci, wyprawiano chrzciny, umierali, były pogrzeby i tak w tym chaosie życia mijały lata, mijały dziesiątki lat a w życiu każdego nic się nie zmieniało.

Chrzcziny

Kobiety w ciąży nazywano "grubą" lub "przy nadziei". Ukrywały swój stan na ile było możliwe, bo to dzieciaków było dużo, jak miało narodzić się czwarte z kolei, matkę ogarniał jakiś wstyd i z tym dochodziło do sęściu lub jeszcze więcej pociech. Porody odbierała miejscowa babka. Sumienie sprawiała swoje czynności przy porodzie i w położu opiekowała się rodzącą. Dzieciska przychodziły na świat zdrowe, prawie bez chorób. Kapano je w nieckach, które służyły do mieszania ciasta na pierogi. Darto co starsze koszule by z tego zrobić pieluchy. Owijano bachora, ręce i nogi tuż przy tułowiu wiązano krajka aż bachor czerwienił i taką mumię rzucano na słomę w kołyskę przykrytą jakąś szmatą.

Ojciec dziecka szedł na plebanię by u organisty zapisać swoją pociechę i ustalić termin chrztu. Było przy tym niemało skrętu, ustalić imię dla dziecka, zaprosić kumów, przygotować chrzciny (przyjęcie). Kumów było czworo. Dwoje starszych i dwoje młodszych, co tylko stało z tyłu, ale gdy padło pytanie: "wyrzekasz się ducha złego", wszyscy czworo krzyknęli zgodnym chórem "wyrzekam" i reszta ceremonii przebiegała w ten sam sposób. Gdy był to chłopak to trzymał go starszy kum, gdy dziewczyna to kuma. Dziecko było ułożone bardzo paradnie. Pierzynka z falbankami, na wierzchu kilkanaście kolorowych wstążek, dziecko okryte pod samą brodę becikiem, a nim wielka kokarda w kolorze różowym u dziewczyny, niebieskim u chłopca. Od kokardy wisiały 2 metrowej długości wstążki różnego koloru. Dziecko ubrane w białe ubranko i także czapkę.

⁸ Decyzję o budowie kościoła podjęli mieszkańcy Gorajca za namową swego kapłana - kanclerza Kurii Biskupiej w Lublinie, ks. Wojciecha Olecha. Wybrano Komitet w składzie: Stanisław Szałata, Józef Ruszczak, Jan Stępnik, Stefan Padziński, Józef Stafisz, Jan Flis, Władysław Szczepanek, Piotr Skrzypa, Piotr Czyrw, Stanisław Krukowski, Michał Małysz, który stał się odtąd odpowiedzialny za wszelkie czynności i prace związane z budową kościoła. Mieszkańcy Gorajca przeznaczili na ten cel działki ziemi. Darczyńcami byli: ks. Wojciech Olech - 53 arów ziemi, Jan Stępnik - 18, Jan Wujec - 25, Tadeusz Paszko - 10 arów 14. Budowa kościoła przypadła na lata 1956 - 1957; wg. *Kronika parafii Gorajec (rękopis) opracowana na podstawie danych, które zebrał z różnych źródeł ks. dr Wojciech Olech, kanclerz Kurii Biskupiej w Lublinie*

Takiego przepychu nie zaznało przez całe życie, wszystkie te cudności kwitowała kuma starsza, ci inni dorzucali grosza na wszelkie wydatki.

Wracali z kościoła. dziecko wiozła młodsza kuma, a przestąpiwszy próg chałupy oddawała dziecko matce mówiąc "wzięliśmy sokoła, oddajemy janiola". A później jak zwykle przyjęcie. Byli tam sąsiedzi, najbliższa rodzina, rodzina kumów. Nie zabrakło berbeluchy w dwóch szklankach po musztardzie, popijali do siebie. I tak się kończyło zainteresowanie dzieckiem i jego rodziną. Ale już zawsze kumowie i rodzice dziecka zwracali się do siebie z powitaniem "witajcie kumo, witajcie kumotrze".

W letnie dni matka wynosiła dziecko na dwór, układała w bandelu. Najczęściej był to gruby drąg, wsparty na dwóch drzewach rosnących obok. Do niego przywiązywano płachtę, do której wrzucano małą deskę, na nią jakieś szmaty aby było miękko, układano malca, kołysano aż zasnął, a matka szła do robót polnych. Gdy bachor się budził i darł się wniebogłosy szła nakarmić go piersią i znów by nie mitrzyć czasu wracała do swoich zajęć.

Gdy matka przestawała karmić piersią robiła taki knot. W Inianą szmatkę wsypywała łyżkę cukru zawiązywała nicią, wkładała dziecku do buzi i to wystarczało na kilka godzin ssania. Gdy już dziecko człapało po obejściu, prawie zawsze z krzywymi nogami, ubrane było w sukienkę, czy to chłopak, czy dziewczyna do pięciu lat chodziło w sukience, na głowie chustka zawiązana z tyłu głowy. W chłodniejsze dni nakładano serdak. Dzieci nie znały zabawek, chłopcy bawili się w konie, wkładali kij między nogi i cwałowali pokrzykując: "wio – wio" i tak pędzili na wierzchowcu. Dziewczyny robiły lalki ze starych szmatek, latem lalki z kwiatów maku. Gdy dziecko dochodziło do ośmiu lat posyłano je do szkoły, wykorzystywano do pasienia krów i do wszystkich lżejszych prac domowych. Ot i całe dzieciństwo, barwne i wesołe.

Pierwsza Komunia

Miałam 10 lat i chodziłam do 3 klasy. Wszystkie dzieci z trzeciej klasy obowiązkowo chodziły na naukę religii do kościoła. Oprócz niedziel dzień w dzień przez 7 tygodni, po lekcjach szkolnych przemierzało się 7 kilometrów do Radzięcina; 13 wiosek parafii, w każdej wsi dzieciarni dużo, było nas koło setki. W dzień pogodny rozsiadaliśmy się przed kościołem na trawie, w słotne dni w kościele w ławkach. Ksiądz Grzebalski uczył dokładnie pacierza, później cały katechizm po kilka kartek na raz. Mocno strudzeni drogą zasypialiśmy na lekcjach, nauka nie wchodziła w głowę, ksiądz był wielce rozsierdzony naszą tępotą. Nie umieliśmy rozróżniać Bóg a Syn Boży Jezus Chrystus. W domu nasze babcie uczyły nas pacierza i klepało się dwa razy dziennie nie rozumiejąc znaczenia słów.

W każdym domu był koń lub dwa i wóz, ale nikt nie pomyślał żeby choć raz w tygodniu zwieźć tych pielgrzymów. Chodziło się boso z odbitami na piętach, z poderwanymi palcami u nóg z mokra, ale jakoś przebrnęliśmy przez egzamin, ścisłe nauki jak się spowiadać, jak przyjmować komunię, jak się zachować podczas liturgii całej mszy świętej

Nadszedł dzień spowiedzi. Z rana z eskortą osób dorosłych do pilnowania według ustalonego porządku odbywała się spowiedź, a potem przeżywanie męki głodowania cały dzień, bo jutro komunია. Broń Boże coś skosztować bo cały trud poszedłby na marne. Jutro nie można by przyjąć komunii, aż od nowa za rok. Starsi pilnowali, strzegli jak oka w głowie. Każdy ruch był kontrolowany by nie urwać maliny, by nie napić się wody. Nastąpił uroczysty dzień. Niedziela. Pierwsza Komunia Święta. Regułkę powtarzaliśmy chyba 100 razy, aż się utrwaliła na całe życie .

*Pan mój. Bóg mój. O, bądź pozdrowione Przenajświętsze Ciało
któreś za nas grzesznych na krzyżu wisiało*

*Pan mój, Bóg mój. O, bądź pozdrowiona krwi najświętsza Pana
która za nas grzesznych została przelana*

*Witaj Ciało i Krwi Jezusowa oddaję największy pokłon wam
Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament
teraz i zawsze i na wieki wieków amen.*

Wyczerpani przeżyciami, osłabieni głodem, strudzeni drogą o niczym innym nie myśleliśmy tylko o stosie bułek, które leżały na zewnątrz kościoła i dwóch wiadrach czarnej kawy. Po ceremonii kościelnej ksiądz zaprosił uczestników na poczęstunek. Każdy dostał bułkę i szklankę czarnego płynu (szklanki matki przyniosły z domu). Pokrzepieni Duchem Świętym z zaspokojonym głodem wracaliśmy szczęśliwi do domów. A potem, gdzieś za rok była wizyta biskupa w parafii, z tej racji bierzmowanie. Do bierzmowania przystąpiło kilka roczników. Rwetes był ogromny, trudno było zebrać tę czeladź, ustawić w dwójki, przy każdym dorosła osoba, wymyślenie jakiegoś imienia, najczęściej imina Świętych Pańskich. Zamieszania było co niemiara, ale i tak biskup z pomocą księży uporała się do wieczora.

Dziewosłoby i wesela.

Młodzieży we wsi było bardzo dużo, dziewczyna gdy kończyła 16 lat już prawnie mogła wychodzić za mąż, chłopak musiał skończyć 21.

Szkoły kończyli na 7 lub 6 klasie, więc rozglądanie się za dziewczyną było już na czasie. A czy zawsze była ta, która się podobała?. Wiele czynników składało się na to: pierwsze to majątek, a przede wszystkim morgi, nawet było takie powiedzenie "trafiło mu się jak jak na sześć morgi". Nie zawsze było ich sześć, ale nawet morga gdy przylegał do jego między to już inaczej, łaskawym okiem spoglądał na dziewczynę. Nieważne było, że dziewczynie podobał się chłopak od sąsiadów – w tym decydowali rodzice. I tak jak Jagna u Reymonta "jak każecie, to pójde".

Jak upatrzył chłopak dziewczynę, a raczej jego rodzice to w czwartek trzeba wyprawić dziewosłoby. Brali antałek piwa na wóz, dwóch wygadanych chłopów i jechali do upatrzonej dziewczki (przeważnie po zmierzchu). Chłopi wchodzili pierwsi – pogadywali z ojcem w jakim celu tu przybyli wychwalając młodego pod niebiosa. Ile ma koni, ile morgów na niego, a jaki zaradny, a jaki z niego tancerz. Dziewczyna siedziała skulona za piecem bez słowa protestu, bez słowa zachwytu jego majątkiem. Czekala co powie tata. Młody stał za oknem, albo pełen zachwytu dziewczyną, albo prosząc Boga w duchu aby się nie zgodzili, bo jakaś bez wyrazu, albo jeszcze smarkata. Ale trudno, nasi kazali trzeba dopełnić dzieła. Patrzył tylko co zrobią dziewosłoby, albo wyjdą obaj na raz, czyli nici z zalotów, albo wyjdzie jeden po antałek piwa i po przyszłego Pana Młodego.

Przy piwie dokonywali targu ile to ociec dadzą za nią. Krowa to obowiązkowo, może jeszcze żrebkę, może dołożą stado gęsi, może młodej kupią kozuch, żeby wiosną skrzynia się nie domykała od ilości kawałków płótna najlepiej lnianego, a może dorzucą konopnego i zgrzebnego na worki i różną bieliznę. I tak godzinami dobijali targu popijając piwem. W końcu zostało na tym, że w najbliższą sobotę dadzą na zapowiedź.

W sobotę matka młodej krzątała się przy garach by zrobić poczęstunek dla przyszłego zięcia i jego rodziców i dobić ostatniego targu co dotyczy wiana. Młody pożyczal od zacnych gospodarzy paradny wóz lub sanie zależnie od pory roku. Zaprzęgał ręczne konie, wyszukiwał najlepszą uprzęż często z janczarami i podogoniem i wioził dziewczkę na plebanię by dać na zapowiedzi. Ksiądz młodych pytał pacierza coś tam z katechizmu. Zapisal dane młodych, a jutro w niedzielę z ambony "zapowiedź pierwsza". "Kto by wiedział o przeszkodzie zachodzącej między młodymi niech da znać do kancelarii parafialnej". Zapowiedzi były trzy, w kolejne niedziele. W ciągu trzech tygodni sły przygotowania do ślubu i wesela. Wesela odbywały się najczęściej w środy u młodej, w czwartek u młodego

Na tydzień przed weselem zapraszali gości. Panna młoda ze starszą druhną szły od domu do domu, każdego chwytaly za rękę (dorosłych i dzieci) wypowiadając: "panna młoda prosi o błogosławieństwo; serdecznie zapraszamy młodych druhnę i swata (jeżeli była młodzież) i was ciotko i swaku na środę na wesele". Pan młody ze starszym swatem to samo czynili, tylko dodatkowo zapraszali starostę i starościny, honorowych gości całego obrzędu. Młoda prosiła cztery pary przydanek – to jest cztery małżeństwa zwane też posażnicami. Na drugi dzień od młodej wieźli cały posag.

W przeddzień wesela młodzi jechali do spowiedzi. Baby w domu piekły chleb, piróg reczczany, piróg jaglany a nawet ciastka amoniaczki. Gotowały kapuśniak na kościach, robiły drygę z nówek wieprzowych z dodatkiem kości wieprzowych nie obieranych. Nalewały w misy i to tężało do jutra. Co lepsi gospodarze robili kiełbasy, wędzili boczkę, robili jącznice i w całym cielcu (żołądku) salceson. Było piwo z buraków swojej roboty, było też kupcze, ale to było cierpkie i gorzkie, była berbelucha lub inaczej okowita samogonem zwana. Rano w dzień wesela druha w jedną stronę młoda w drugą stronę wsi biegły spraszać gości, bo przedtem zaproszenie było nieważne, trzeba było jeszcze raz potwierdzać. To samo czynił młody na drugi dzień, ale wtedy szedł już z nową żoną. Były zamówione furmanki by młodzież mogła się pomieścić jadąc do ślubu. Młodzież przychodziła rano, zjeżdżaly się furmanki, starsi przychodzili później. Zasiadali przy stołach przykrytych szarym papierem, na nich rozłożone pieczywo w wyszczerbionych starych talerzach położona wędlina, kilka widelców, kilka szklanek musztardówek, piwo w polewanym dzbanku, ot i cale wspaniałe przyjęcie. U młodego było więcej rwetusu. Rano furmanka poszła po orkiestrę z Zaburza, to można powiedzieć, że to kawaler najbogatszych gospodarzy. W niczym też nie ustępowała orkiestra z Radziejciną czy Jędrzejówki.

Biedniejszy zamawiali miejscowych grąków. Starszy swat przychodził z różgą. Była to pięcioramienna gałąź wysokości 80 cm. Na zakończeniu każdej gałęzi był duży kwiat jakby piwonii w kolorze białym, w dół gałązki dużo liści zielonych, przy rękojeści kokarda w białym kolorze. Starszy swat kręcił tym cudem przez cały dzień wesela. Kręcił w takt muzyki, kręcił w czasie przyśpiewek, m kręcił w czasie jazdy do kościoła, a gdy się kończyło znużony odkładał na piec. Bo to była rzecz pożyczona i trzeba było jakiś grosik dać.

Starosta przyjeżdżał paradnymi końmi, przywoził 2 flaszki wódki i parę groszy dla starościny gdy przypięła mu bukiet do klapy marynarki z gałązki owsa z gałązki paprotki lub szparagusa, wszystko upięte w białą wstążkę ze 20 centymetrowej długości, by odróżnić go normalnych swatów. Najczęściej był to chłop już w podeszłym wieku, poważany we wsi, stosownie ubrany w butach oficerkach, spodniach angielkach,

koszula podpięta pod karkiem na nią nałożony frencz lub letnik i koniecznie w kapeluszu. Starościnnie też nie lada w czym było się pokazać. Pantofelki jasne, pończochy przypasane tuż za kolanem grubą gumką, sukienka, a nią nałożony saczek. Paradowała z korowalem. Było to ciasto drożdżowe z wyśmienitych składników z dodatkiem masła i większej ilości jaj, upieczone w okrągłej blaszce, smarowane żółtkiem by nabrało ciemnego koloru, na to z ciasta gniecionego boki wyłożone kozą (warkoczem) z jasnego ciasta, ulepione różne gałązki z kwiatkami, na tym ptaszki, lub wedle uznania dekorujące różne ozdoby. Tak przygotowane cudo ułożono na płaskim talerzu, udekorowano boki szparagusem, powtykano kwiaty prymulki lub kwiat sezonowe i tak paradny obiekt wędrował na rękach starościny do ślubu i z powrotem.

Starsza druhá z pomocą starszych kum w wieczór przed ślubem szykowała kokardki, tzw. bukieciki. Biała wstążeczka, gałązka paprotki, małe kwiatki. Wszystko spięte szpileczką z łebkiem w misterny bukiecik. Było tego co niemiara aby wystarczyło dla wszystkich. Nazajutrz druhá szła z talerzem bukiecików i z drugim pustym na datki. Przypinała każdemu swatowi na lewej stronie koszuli lub innego odzienia bukiecik. Każdy coś rzucił do pustego talerza, kilka grosików, tak samo czyniła to ze swatami od Pana Młodego. Jej obowiązkiem było przygotować bukiet dla młodej. Były to różne kwiaty sezonowe, a zimą z bibuły zrobione, do tego dużo szparagusa i paprotki.

U Panny Młodej w komorze trwały przygotowania ubioru ślubnego. Sukienka biała, długa za kolana, białe pończochy, welon długi do samej ziemi. Z welonu ułożona girlanda zaszyta gumką by trzymała się głowy, wpięty w to szparagus lub paprotka. Welon powieszony na drzwiach czekał aż Panna Młoda z wielkim majestatem założy go na głowę.

Z wielką pompą przyjechało kilkanaście furmanek z orkiestrą na przedzie. Orszak zajeżdżał przed chałupę Panny Młodej. Zagraли trzy marsze, za trzecim wyszła młoda wraz ze starszą druhá, przywitali młodego i starszego, zaprosili do środka, a młoda z drużką prosto do komory. Przebrała się szybko, a już w mieszkaniu ustawiona była rodzina do przeprosin. Stali rodzice, stali chrześni ojcowie, stała najbliższa rodzina. Począwszy od ojców całowali w rękę i usta prosząc o błogosławieństwo i tak trzy razy. Orkiestra zagrała marsza. Państwo Młodzi usadowili się na wozie za nimi starostowie i reszta orszaku.

W kościele ślub "czy masz nieprzymuszoną wolę?", były małe zawahania: "mam", ale w wielu przypadkach była to nieprawda. Popłynęło wiele łez, a przez zaciśniętą krtań z trudem przechodziło "mam". Z kościoła furmanki zajeżdżały pod remizę, wysiadła orkiestra, wysiedli młodzi. Grali i tańczyli na głośno, aż gdzieś w połowie popołudnia starostowie przynieśli cały przetak kawałków piroga jaglanego, dla orkiestry wódkę i piwo i to był cały poczęstunek uczestników wesela. Ale gdy zaprosili na kolację, wszyscy zasiadali do stołów. Zgodniali raczyli się wszystkim. Były też różne przyśpiewki, no i najważniejszy punkt "Czepiec". Starościna zdejmowała młodej welon, uwijała ją w chusteczkę szalinówkę i zaczęły się śpiewy:

*Dajcie, dajcie bo wy macie
bo pszeniczkę sprzedawacie
Dajcie, dajcie na paciórki
żeby mieli ładne córki
Dajcie, dajcie na bursztyny
by im się rodziły syny*

*I wy krzesny nie żałujcie
na czepyczek podarujcie
Złoty mały i dwa mały
ze sto złotych by się zdało*

Starsza druhá brała męską czeladź do tańca, starszy swat dziewczyny po przetańcowaniu kładł kilka złotych przed młodymi, za to dostawał szklankę piwa i pajdkę korowała. Ojcowie chrześni dawali większą sumę lub prezent w postaci materiału na sukienkę. Po skończonych oczepinach czeladź wraz z młoda odjeżdżali do domu Pana Młodego.

Nazajutrz od domu młodej ruszały fura z posagiem. Co na nich było? Skrzynia malowana w różne kwiaty, w środku aż po wieko i płótna i koszule i płachty i worki lniane. Osobno pierzynka duża, jak fura dwie poduchy, jasiek, a wszystko obleczone w nowusienka pościel, na poduszkach hafty. Była i przęślica i wałek i wrzeciono i cierlica i miedlica i szczotka do czesania lnu i niecki i wałek do robienia klusek, może jeszcze z babci wiana. Były tam i miska i donica i wałek do ucierania maku i dwa baniczaki żeliwne i wiele, wiele innych.

Zajeżdżali pod dom Pana Młodego ze śpiewem. Przyśpiewkom i żartom nie było końca, aż wyszli młodzi i zdejmowali rzeczy z pomocą 4 młodych chłopców, którzy też byli dodatkiem do przydańek. W niedzielę były poprawiny ale już w mniejszym składzie gości. A w poniedziałek młodzi jechali na jarmark by za pieniądze z czepca kupić parę prosiąt, na pierwszy zaczątek nowego gospodarstwa, nowego życia.

Znowu jesień

Mgły z rana zalewały jesienne już pola, na żółtych ścierniskach wiszą długie sznury babiego lata. Człowieka ogarnia jakaś melancholia, nostalgia. Odleciało dużo ptactwa, prawdopodobnie bociany (u nas nie ma łąk i bocianich gniazd). Z pastusich ognisk snują się kłębiaste dymy, białe jak obłoki, płyną powoli gdzieś hen daleko, daleko. Zaczęły się wykopki. Od rana ludzie snują się w pole z tobołami worków na plecach, z motyką na ramieniu i dużym koszem w ręku. To pierwsi kopacze kartofli. Od rana sami swoi, domownicy, ale na południu przyjdą kopacze na odrodek. Zbiera się ze 20 osób. Zajmują dwa rządki i jeden przez drugiego byle szybciej, byle do wieczora całe staje, cały kawał 30 – 40 arów było wykopane. Zsypują dorodne kartofle do worków, ktoś wiąże, inni wrzucają na furę. Jazda furmanką w te i we wte, bo trzeba znów worków i tak wśród śmiechów, żartów, swawoli kartofle wykopane. Ale dopiero wtedy czekała prawdziwa uczta. Wspólna kolacja. Gospodyni od rana szykowała posiłki, zawsze coś porządnego. Parka z najlepszych gruszek suszonych, ze śliwek, jabłek suto okraszona śmietaną. Pycha. Na drugie kapusta z polnym grochem i kluski z serem kraszone słoniną ze skwarkami. Na koniec po kawałku pieroga jaglanego.

Ludzie pojadali w cichości nie swarząc się między sobą, bo za chwilę przyszedł grajek ze skrzypcami i zaczynała się zabawa. Tańczyli wszyscy nie tylko młodzież, ale i starsi i tak do północy. Bo trzeba wypocząć, bo jutro znów w innym miejscu kopanie. I znów zabawa. Miejscowi muzykanci byli zamawiani na kilka dni przed kopaniem kartofli, bo zabawy były co najmniej w dwóch miejscach we wsi. Grał Józef Wypych z Podborcza, grał Józef Niedźwiedzki (Pyjdzionczyn) z Kolonii Teodorowskiej i wszyscy nie narzekali na brak zamówień. Przy dobrej pogodzie w dwa tygodnie kartofle były wykopane. Gdzie nie gdzie babina dokopywała resztki spod między, a tuż za nią chłop chodził z bronami i ścigał macinę bo rychło w kartoflisku trzeba siać pszenicę. A już i zbliżał się czas zimowych podorywek.

A życie na wsi dopiero nabierało wielkiego rozmachu. Nadszedł czas międlenia lnu i konopi. Chłopy kopali doły pod pagórami. Zwozili drzewo na ogniska, wbijali kolki by obsadzić narzędzia do obróbki czyli międlice i cierlice. Takich miejsc we wsi było kilkanaście. Były w Rowach za Marczakami w Bagnym Dole, w Chorzępowym Dołku, w Sobstylowym Dole, a przy każdym co najmniej dwadzieścia bab. Nad dołem była drabinka, a w niej pełno lnu, w dole na spodzie palił się ogień, co osuszał włókno. Zawsze jedna etatowa baba trzymała piecze nad tą czynnością, a że musiała się znać na tej czynności, to co dnia stawała przy tym dole grzała nogi i spełniała tę czynność aż do wieczora. Suche garści lnu rzuciła na ziemię, inne robiły też mniejsze garści podawały tym, co były z międlicami. Po obróbce międlica garści wędrowały do cierlic i to był koniec czynności. Gotowe garści wiązano w kopy po 60 sztuk, kładziono na bidkę i wywożono do domów, a tam czekała następna czynność – czesanie.

Całymi dniami słychać było klekotanie we wszystkich dołach międlnych. Było w tym wszystkim i coś przyjemnego. Na październikach rozścielano lnianą płachtę i właścicielka danej roboty kroila ogromne bochny piroga jaglanego jako poczęstunek dla robotnic. Obsiadały wszystkie kołem, pojadły w cichości racząc się przysmakami, by nabrać nowych sił do dalszej roboty. A gdy nastał zmierzch każda chwyciła swoje narzędzie pracy i biegła do domu, bo tam czekał ją obrządek, gotowanie wieczery i krótki nocny odpoczynek, by nabrać nowych sił do tej samej jutro roboty. I tak w każdy pogodny dzień, odrodek lub zarobek aż ostania miała gotowe włókno.

Kres życia

Życie toczyło się normalnym trybem, mijały dni, mijały miesiące, mijały pory roku, mijały lata, mijały dziesiątki lat, ale to wszystko mijało jakby w ustalonym trybie, ta sama praca, czy to wiosną, latem, czy zimą. Od wieków oranie, sianie, żniwa, zawieruchy zimowe.

Żyło się biednie, ale każdy nie znając lepszych warunków cieszył się życiem takim jakie było. Przychodziły choroby. Bolenie brzucha lub żołądka nazywano boleczą. Były też swoje sposoby na leczenie danych chorób. Rozgrzewano fajerki okręcano w szmaty i przykładano na bolące miejsca. Prażyli też otręby pszenne i przez szmatę przykładano w miejsce boleści. Były też i inne sposoby, jak stawianie baniek lub przystawianie pijawek. W każdym domu stała faszka z wodą zakręconą lnianą szmatą a w niej kilka pijawek. Z nabyciem tego specyfiku nie było trudności, bo żebraczna baba co jakiś czas dźwigała w płachcie na plecach w butelkach gotowy lek. Przy bólach głowy lub bólach w innym miejscu przystawiano pijawkę, a ta raczyła się krwią aż sama odpadła. Więc wtedy sypano garść popiołu na ławę i turlało się tą pijawką aż oddała krew, którą wessała. Wkładano pijawkę do butelki aż do następnego schorzenia.

Unowocześnieńszym lekiem były bańki. Tylko niektórzy umieli je stawiać, ale korzystano i z innych sposobów leczenia. Były takie szeptuchy, co umiały wylewać wosk nad chorymi, wymawiać jakieś szeptane modlitwy i chorobę jak ręką odjął. Była też taka babka co nad koszulą chorego wylewała wosk, modliła się, jeszcze postawiła diagnozę i też pomagała. Były też miejscowe babki co umiały zamawiać chorobę. Do bolącego miejsca przykładano nóż, robiła nim znak krzyża świętego odmówiła modlitwę i też bolak po kilku dniach zniknął. Na grypę najlepszy lek to kwiat lipowy. Z garści suszonego kwiatu robili wywar, słodzili miodem, i aż do skutku, aż grypa ustąpiła. Na kaszel to sok a maliny.

Pomimo tych wszystkich leków przychodziły lata i trzeba było umierać. Starszy człowiek poddawał się

chorobie bez protestu. Leżał w barłogu błędnymi oczami wodził po domownikach, bez narzekań, postępując z bólu czekał na swój koniec. Mawiało się wtedy: "nasz tata już patrzą na księzo obore". Ten tata już niedługo patrzył. Błędnym wzrokiem patrzył przed siebie, chwycił się próżni zdrętwiałymi rękami, chciał wydać ostatni okrzyk "ratunku", lecz głowa bezwiednie opadła mu na poduszkę, z gardła wydobyło się ostatnie tchnienie. I tak odszedł w zaświaty do lepszego, spokojnego życia. Ktoś z domowników zapalił gromnice, wetknął mu w zastygłą dłoń, ktoś mocno załkał i tak się skończyła ostatnia droga jego życiowej pielgrzymki.

Przykryli go płachtą i tak zwłoki czekały aż zrobi się trumnę. Na wióra z desek rzucili białe przykrycie, zrobiono poduszkę też z wiór i w całym majestacie odświętnie ubranego włożyli do trumny na wieczny sen. U sąsiadów pieczono pieróg na poczęstunek uczestników pogrzebu.

W domu zbierali się ludzie na odmówienie różańca. Zaproszone tercjarki Wichta i Tekla, one to obsłużyły i wieczorne modlitwy i jutro wyprowadzanie. Wśród modłów i żalosnych śpiewów pożegnalnych wszyscy płakali, a rodzina była w skrajnej rozpacz. W czterech chłopów wynosili trumnę. Trzy razy uderzali o próg, co miało symbolizować pożegnanie domu. Trumnę ułożono na wozie, podjechali pod figurę. Tu jeszcze odmówiono Anioł Pański. Pożegnano go Wiecznym Odpoczynkiem, rodzina pocałował trumnę i wóz ruszył w stronę Radzięcina. Ludzie kończyli modlitwy smętnie patrząc za wozem aż zniknął za lasem, aż zniknął na Stoczku .

Nazajutrz z rana odbywał się pogrzeb. Trumnę wniesioną na katafalk obstawili kościelny świecami. Więcej lub mniej światła w zależności jak rodzina uzgodniła z księdzem. Jak pogrzeb był bogaty to paliło się 12 świec, ale i bywało że 4 świece tliły się przy trumnie, bo nie stać było domowników na większy koszt. Na pochówek ksiądz życzył sobie równowartość krowy, a byli i tacy, co nie mieli krowy.

Przede mszą ksiądz i organista zasiadali po przeciwległych stronach ołtarza w pańskich ławkach by odśpiewać *Rekwije*. Wglądało to jakby się kłócili między sobą, a że to w języku łacińskim to i tak nikt nie rozumiał. Melodia była bardzo rzewna. Naród pochlipywał żałośnie.

Zaraz po tych śpiewach odbyła się msza i odprowadzenie na cmentarz. Czterech chłopów na ramionach niosło trumnę aż do samego grobu. Grób był bardzo głęboki. Ksiądz w imieniu rodziny odczytał pożegnanie, zaśpiewał *Witaj królowo Nieba*. Rzucił na trumnę garść ziemi - *z prochuś powstał, w proch się obrócisz, a Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym* i odszedł. Czterej silni chłopów porwali za liny i wpuścili trumnę do dołu. Kościelny puścił pierwszą łopatkę ziemi na trumnę, zadudniło mocno, potem następną i następną aż powstał lekki pagórek, oklepał i wkopał krzyż.

I Tak ceremonia pochówku dobiegła końca. wszyscy byli zaproszeni na chleb do salki parafialnej. I tak jakby już zapomnieli w jakich okolicznościach się znaleźli. Wrócili do domów, do swoich zajęć, do codziennej harówki, do życia, które wyznaczało nowe drogi. Zapominali o tym co wydarzyło się wczoraj.

Jest późna jesień. Drzewa stoją ogołoczone z liści. Świat opanowała szarość, beznadziejna szarość. Umilkły wszelkie głosy i gdyby nie krakanie wron świat wydawałby się pusty. Ale cała zgraja tego ptactwa grasuje po drogach racząc się odchodami końskimi. Zaczął padać pierwszy śnieg przykrywa swym białym obrusem oziminę, pola, drogi. Otula wszystko przed zimowym snem. Życie spowolniało w swym biegu. Przyroda powoli zasypia. I tak kończy się jeden rok mojego życia. W tym czasie w mojej wiosce nastąpiły pewne zmiany na lepsze. Były to: pierwsze radia we wsi, zniesiono obowiązkowe dostawy, zmorę każdego rolnika, gdzie często ostatni musiał oddać mięso, zboże, mleko, jajka. Minęły ciężkie stalinowskie czasy. Wieś powoli zaczynała się odradzać. Po raz pierwszy przyjechało kino objazdowe, wyświetlali film *Czarownica* produkcji francuskiej z Mariną Vladi w roli głównej. Ach, cóż to była za frajda. Całymi dniami opowiadaliśmy sobie o dramacie głównej bohaterki.

Jest koniec lat 1950. Komodnianka

Aneksy

Słowniczek gwary komodiańskiej

| nazwa gwarowa | znaczenie |
|--------------------|---|
| przycupione | przyczepione, przyklejone |
| dumi | dymi |
| skrzyp | skrzywienie |
| zapierać | zmykać |
| wrótnia | brama do stodoły |
| swat | ojciec pana młodego lub panny młodej |
| zdrożyło się | przeciągnęło się w czasie, długo trwało |
| dzień na obróceniu | dzień jeszcze jesienny, ale już z oznakami zimowego, przez to krótszy |
| skrzypice | skrzypce |
| chybki | gibki, zgrabny |
| kosa | warkocz |
| parcionka | płaszcz z grubego, lnianego płótna |
| portki | spodnie |
| dziewka | dziewczyna |
| zmowiny | zaręczyny |
| góra | strych |
| bachor | dziecko |
| ojciec są | ojciec jest |
| iść w żołdaty | być powołanym do wojska |
| uczyć drukowanego | uczyć czytać drukowany tekst |
| trześnie | czereśnie |
| wygon | pastwisko, z którego ma prawo korzystać każdy mieszkaniec wsi |
| glinnik | wzgórze, góra zbudowana z gliny |
| zagnanie | obora |
| barchanka | spódnica |
| czepiczek | czepek, element stroju panny młodej |
| reczczany | gryczany |
| słomiaki | warkocze wplecione ze słomy, które wkładano do butów |
| plowy | plewy |
| kuleszczysko | pozostałości po zabudowaniach, |
| usłonie | polana osłonięta z lasem |
| parka | zupa owocowa |
| czernice | czarne jagody |
| nima | nie ma |

| | |
|--------------|---|
| Gody | Święta Bożego Narodzenia |
| przedgodzie | okres przed Bożym Narodzeniem |
| kila | kilka |
| reczka | gryka |
| poliwka | kompot gotowany z suszonych owoców (jabłka, gruszki) |
| urodliwe | urodziwe [dziewczęta] |
| zagata | liście, ściółka, którymi ocieplano ściany domów |
| furgały | furkotały, |
| pośnik | wieczerza wigilijna |
| belk | belek |
| ździobła | źdźbła |
| wilija | wigilia |
| łupcie | gołąbki |
| uweselić | rozweselić |
| poliwka | kompot z suszonych owoców |
| pojedzeni | najedzeni |
| zawiejne dni | dni, kiedy bez przerwy sypie śnieg |
| uprażyć | ugotować |
| słoducha | żurek, barszcz (?) gotowany z kilku rodzajów mąki (pszenna, żytnia, gryczana) |
| krupy | Kasze (gryczana, jęczmienna, jaglana) |
| banaszki | blaszane pojemniki na wodę |
| święcone | pokarm przeznaczony na poświęcenie w Wielką Sobotę |
| łokszyna | makaron gotowany na mleku |
| zdziabywać | zruszać motyką grządki |
| lepiechy | szuwary |
| zadzielić | podzielić się z kimś |
| hanysek | dziko rosnący kminek |
| czemha | urządzenie do ziaren lnu |
| czemhany | czesany |
| bojowisko | centralne miejsce w stodole, inaczej klepisko |
| swak | mąż ciotki |
| jącznica | kaszanka |
| szparagus | asparagus |
| szalinówka | kolorowa chusteczka z frędzlami |
| krzesny | chrzestny |
| macina | nacina (łodygi ziemniaków) |
| scheda | znaczna ilość ziemi uprawnej |
| zajdy | przewiązana przez plecy płachta |
| galancie | pięknie |
| smentarz | cmentarz |

| | |
|------------|---|
| urodliwe | urodziwe (o kobietach) |
| opacz | zbocze |
| omalować | pomalować |
| furgać | kręcić się, furkotać |
| ździobła | źdźbła |
| łupcie | gołąbki |
| uweselić | rozweselić |
| arbata | herbata |
| mliko | mleko |
| szczypiura | szypiora |
| zarówniać | zapełniać |
| poddach | strych nad zabudowaniami gospodarczymi |
| janiół | aniół |
| bandel | kołyska zrobiona z płachty przewieszanej przez drąg zamocowany na dwóch rosnących obok drzewach |
| dryga | galareta |
| chrześni | chrzestni |
| szalinowka | kolorowa chusteczka najczęściej z frędzlami |
| bolak | wrzód |

Postaci występujące w Opowieściach...

Stefania Krukowska podaje zarówno nazwiska, jak i przydomki mieszkańców Komodzianki, a także specyficzne nazywanie (co czyni ich przekaz ciekawym i interesującym w odbiorze) niezamężnych dziewcząt tak jak mężatek. Na Komodziance nazywano także kobiety od imienia męża, dziewczęta od imienia ojca np.: Jania Wawrzkowa, chłopców od imienia ojca, a także od imienia matki, np. Weronczyn Maniek

| Imię i nazwisko/przydomek/ nazwa od imienia matki, ojca (mężczyźni) | Imię i nazwisko/przydomek/ nazwa od imienia matki, ojca, męża (kobiety) | Nazwiska rodzin |
|---|--|--|
| Wojciech Czajka | Jaškowa Marczaczka | Rodzina Czajków, |
| Książek | Mikszyna | Chorzepów, |
| Sobstyl | Gienia Baranowa | Kołodziejów, |
| Niedzwiedzki, zwany "Zakrętas" | Kaška Magdzina | Rodzina Kryczków |
| Czajka, zwany "Komenda" | Kołodziejka (akuszerka słynna na okolicę z dobrze odbieranych porodów i opieki podczas porodu) | Wasile |
| Niedzwiedzcy zwani: Józikowe | Nawrocka Marynka | Kołomaje |
| Sosnowy | Skowronka | Madeje |
| Kiszczał | Bronka Marczak | Leśniaki |
| Ruszczał | Paulka Gienkowa | Rodzina Kulów |
| Jędruchowe | Kołodziejka Marcinowa | Rodzina Kosików (rodzeństwo Tomka Kosika : Franek, Andrzej, Jakub i siostra Marynka) |
| Słota | Jania Wawrzkowa | Rodzina Marczaków (klan): |

| | | |
|--------------------------------|--|---|
| | | Jachym z synem Wawrzkiem, Jaśkiem, Tomek z synem Janem, Kaziem, Kubą, Walka Hanka z synem Wojtkiem, Marynka z synem Markiem |
| Futymy | Stasia Madejowa | Kołodziejczycy: Stach, Nastka, Lodzia, Manusia |
| Zajęce | Jagusia Frankowa | Pisiewicz |
| Kołodzieje | Jania Skowronowa | Wojtek Marczak i Józef i Kasia Marczakowe |
| Kazimierz Marczak | Stefcia Kuśmierczykowa | |
| Józef Łukasz (Łukaszów) | Kasia Futymy Jaśka | |
| Kosik | Stasia Ruskiego | |
| Futyma Jasiek | Stefcia Spólnikowa | |
| Michał Wojciowy i jego synowie | Stefcia Kryczkowa (Niedzwiecka) | |
| Wojtek Marczak | Jagusia Wojstuchowa | |
| Błach, zięć Wojtka Marczaka | Jania Marczakowa | |
| Stach Marczak, stolarz, | Janka Kotowa | |
| Józef, Wojtek, Jasiek Marczaki | Sabinka Pisiewiczowa | |
| Władek Kot | Jania Michałowa | |
| Bronka Kot | Reginka Gienkowa | |
| Pisiewicz | Paulka i Honorka Butkówny | |
| Matuszki | Lodzianka Oszustowa | |
| Felki | Gienia Markowa | |
| Stach Książek | Gienia Ruszczakowa | |
| Franek | Stefcia Sosnowego | |
| Paweł Madej | Jania Śliwińskiego | |
| Chorzępa | Bronka Marczakowa | |
| Franio Waclawów | Kosiczka (matka Stefanii Krukowskiej) | |
| Sosnowy Jędrzej, | Władek Kotów | |
| Sosnowy Kazimierz | Jędrzej Łukaszów | |
| Józef Marczaków | Stach Marków (Futyma) | |
| Wojtek Marczak | Władzio Ruskiego (Czajka) | |
| Józef Wichcin | Stefcia Kuśmierczykowa | |
| Kaśka Józłowa | | |
| Jasiek, Władek Kołodziejów | Jania Skowronowa | |
| Sklepnik | Bronek Jędrunków | |
| Sosnowy Andrzej i Kazimierz | Stach Felków/Felkowi | |
| Skowron | Lodzianka Oszustowa | |
| Staś Franków | Jania Michałowa | |
| Oleś Skowron | Bronczyna Stefka i jej brat Jasiunio | |
| Bronek Jędrunków | Stefcia Kociny | |
| Kazio i Stach Kmieciców | Leonka Sklepnikowa | |

| | | |
|---|--|--|
| Stach Bartoniów | Manusia Białego | |
| Jaś Futyminy | Madejka, żona Pawła Madeja | |
| Władek Futymów | Jantka Białego | |
| Józef Pietryków | Jagunia Lilijczyna | |
| Jasiek Wawrzków | Jachymka, "Ciut, Ciut" zwana | |
| Główka Tadek | Jagna Mączyna | |
| Weronczyn Maniek | Tekla Kołodziejka | |
| Jagnin Stach | Wichta Marczakowa | |
| Józef Kocinyj | Kosikówny Władzia i Stefcia | |
| Bolek Kotów | Sabinka Pisiewiczówna | |
| Bronek Felków | Paulka, Kasia, Honorka Oleszkówny (Budkowe) | |
| Władek Kołodziejów | | |
| Madeja Wojtek | | |
| Jasiek Matuszków | | |
| Stach i Jasiek Kosików | | |
| Tadek Popieluch | | |
| Edek Błachów | | |
| Jasiek Kosików | | |
| Paolek Książków | | |
| Jasiek Kosinyj | | |
| Romek i Edek Jędrzejowe | | |
| | | |
| Józef Łukaszów | | |
| Józef i Paulin Michałów | | |
| Błachowe Edek, Władka i Tadek | | |
| Władek Kosinyj | | |
| Niedźwiedzki zwany Słota | | |
| ks. Grzebalski | | |
| Stach Komenda (sklepowy) | | |
| Niedźwiedzki zwany Sklepnik | | |
| Kazimierz Oszust (prowadził Kurs dla Analfabetów) | | |
| Andrzej Sosnowy (w jego domu znajdowała się sala lekcyjna, w której zorganizowano Kurs dla Analfabetów) | | |
| Czajka – Ruski | | |
| Bartoń | | |
| Kołodziejczyk | | |
| Chorzępa | | |
| Jędruńko | | |

| | | |
|--|--|-----------------------|
| Stach Nawrocki | | |
| Franio Waclawów z Polką i Jantką | | |
| | | Sobstyle |
| Jasiek Matuszków | | Kołodzieje |
| Bolek Kotów | | Kuśmierczykowie |
| Władek Kołodziejów | | Kmiecie |
| | | Lelijki |
| | | Skowrony |
| | | Pisiewiczze- Matuszki |
| Sobstyl Paweł (radny z Rady Parafialnej) | | bracia Bartonie |
| Świś (kościelny) | | |
| Kość | | |
| Korgul | | |
| Oleszek | | |
| Badach | | |
| Nawrocki | | |
| Wójcik | | |
| Bronek Paszków | | |
| Władek Kołodziej | | |
| Józef Marczaków | | |
| Stach Pisiewiczów | | |
| Staś Budków | | |
| Michał Wojciowy | | |
| Bolek Kotowy | | |
| Józef Białego | | |
| Józef Kociny | | |
| Stachy Marczakowe | | |
| Sosnowy Jędrzej i jego brat Kazio | | |
| Oleś Chorzępów | | |
| Madej Paweł | | |
| Józef Niedźwiedzki (Pydzionczyn | | |
| Kołodzieje Marciny | | |

Spis treści

| | |
|--------------------------------|--|
| Wstęp..... | |
| Jesień, jesień..... | |
| W dzień targowy..... | |
| Codziennie obowiązki..... | |
| Andrzejk..... | |
| Świąteczne porządki..... | |
| Artystyczna robota..... | |
| O chudobę zadbać trzeba..... | |
| Święta tuż, tuż..... | |
| Wigilia..... | |
| Kolędnicy, tańce i zabawa..... | |
| Wielki Post..... | |
| Wiosna..... | |
| Święta Wielkanocne..... | |
| Zielone Święta, Zielone..... | |
| Deszcz, wiosenny deszcz..... | |
| Dzień Bożego Ciała..... | |
| Żniwa..... | |
| Święta Matki Bożej..... | |
| Chrzcziny..... | |
| Pierwsza Komunia..... | |
| Dziewosłęby i wesela..... | |
| Znowu jesień..... | |
| Kres życia..... | |
| Aneksy..... | |